

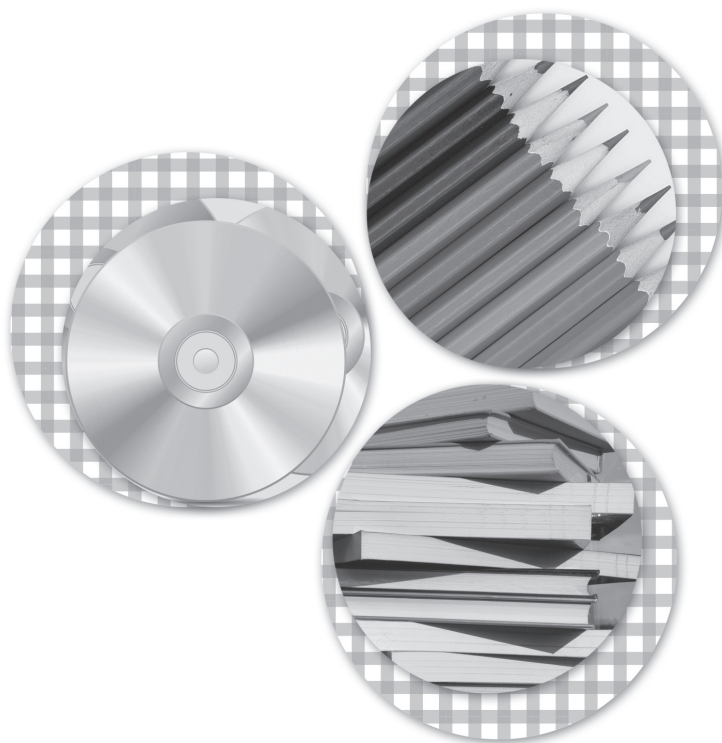
Opowiadania

według notatek
bł. Edmunda Bojanowskiego



Opowiadania

według notatek bł. Edmunda Bojanowskiego



Lublin 2022

Opinia metodyczna
Ewa Zielińska

Redakcja
S. dr hab. Maria Opiela, prof. KUL

Opracowanie redakcyjne tekstu
Piotr Królikowski

ISBN 978-83-67064-15-6

© Zgromadzenie Sióstr Służebniczek BDNP
ul. Edmunda Bojanowskiego 8–10, 39-200 Dębica

© Wydawnictwo Werset, 2022

Wydawnictwo Werset
ul. Radziszewskiego 8/216, 20-031 Lublin
tel. 81 533 53 53; 501 061 226
wydawnictwo@werset.pl; www.werset.pl

Spis treści

Opinia metodyczna „Opowiadań według notatek Edmunda Bojanowskiego”	7
1. Anioł Stróż	9
2. Brat i siostra	10
3. Brzezicki	12
4. Brzoza gryżyńska	14
5. Garnek Świętego Efrema	15
6. Garuch	16
7. Groch przy drodze	17
8. Izaak	18
9. Jadwisia z Górek	20
10. Kapłan i nawałnica (powiastka)	21
11. Kasia i Magda	23
12. Kazimierz Wielki na łowach	25
13. Kładka	26
14. Konstancja Myszkowska (1561-1627)	27
15. Krówka Jaremy	29
16. Krystynka Lubomirska	31
17. Ks. Piotr Baudouin*	32
18. Księżyc w wodzie	33
19. Kwiatki z cmentarza	35
20. Kwiatki z cmentarza II	37
21. Leszczyna	39
22. Michał Ugolin	40
23. Młodość Daniela	41
24. Mogiła leśna	43
25. O męczennikach kazimierskich	45
26. O ubogiej matce	47
27. Piszczalka	49
28. Śnieżki	52
29. Święty Efrema	53
30. Święty Jan Kanty	54
31. Niebieska rosa	55
32. O pewnym Hazaku [O Hazaczyźnie i jednej Hazaczce]	56

33. O Królu Pyszałku (legenda górnośląska)	57
34. O Piotrze Duńczyku	59
35. O rozstępowaniu się ziemi	60
36. O trzech siłaczach	61
37. O ubogiej sierotce, co innym oddała wszystko – jak Jezus	63
38. O wiązce siana	65
39. O zaklętych zwierzętach	67
40. Obmowa	69
41. Obrazek na drzewie	70
42. Omszony kamień	72
43. „Otwarte serce”	74
44. Pan z Tyńca	77
45. Patron jeńców	78
46. Piotrowin	79
47. Patron z bierzmowania (powiastka)	80
48. Piorun	81
49. Policzek albo Dzieciątko Jezus	82
50. Poziomka	83
51. Próchno	85
52. Stanisław Leszczyński	86
53. Jednakowe sukienki	87
54. Słońce przed domem	88
55. Stopki	90
56. Święty Aleksy	91
57. Święty Alfons Maria Liguori	92
58. Święty Atanazy	93
59. Święty Jacek w Bytomiu	94
60. Święty Sadok	95
61. Tatarskie ziele	96
62. Wianek	97
63. Wilcza jama	98
64. Woda na kamieniu	99
65. Wykupienie ojca	100
66. Wyżlica kapitana Jaroszyńskiego	103
67. Zosia Sieniawska	104
68. Źródło	106
69. Miłosierdzie Boże	108

Opinia metodyczna „Opowiadań według notatek Edmunda Bojanowskiego”

Dzieci, nie tylko w wieku przedszkolnym, chętnie słuchają opowiadań, bajek, baśni, a nawet pogadanek. Miałam okazję wysłuchać, a potem przeczytać sześćdziesiąt dziewięć opowiadań opracowanych według notatek Edmunda Bojanowskiego. Ich różnorodna treść skłoniła mnie do refleksji nad takimi problemami jak: prawdomówność, przyjaźń, pomoc i opieka nad młodszymi i słabszymi itp.

Opowiadania poruszają problemy z życia dzieci i ich rodzin, a zaletą ich jest to, że trwają krótko i każde dziecko przez kilka minut potrafi skupić uwagę na treści opowiadania i losach bohatera. Niektóre opowiadania są napisane w klimacie krótkiej bajeczki, co przyczynia się do podtrzymania zainteresowania i wydłużenia czasu słuchania. Dobrym przykładem są tutaj świadectwa z życia innych ludzi.

Na uwagę zasługuje również sposób opowiadania treści. Lektor spokojnym, miłym dla ucha, ciepłym głosem ze znakomitą dykcją i w sposób ekspresyjny, opowiada treść, przyczyniając się do rozwijania dziecięcej wrażliwości na słowo. Taki sposób opowiadania zachęca dzieci do słuchania i stanowi znakomite wprowadzenie do rozmów na temat własnego postępowania.

Problemy prezentowane w opowiadaniach to przykłady z codziennego życia, z którymi dzieci spotykają się niemal każdego dnia. Szczególnie zwróciłam uwagę na prawdomówność zaprezentowaną z kilku punktów widzenia np. odróżnianie prawdy od kłamstwa, przyznawanie się do kłamstwa i przeproszanie za nie itp.

Trudno dziecku takie problemy wyjaśnić, dlatego wielką pomocą są tu opowiadania, które na podstawie historii biblijnych konkretnych osób z jednej strony wymieniają skutki i konsekwencje kłamstwa, a z drugiej nakłaniają do prawdomówności, ucząc dzieci przyjmowania konsekwencji własnych zachowań.

Kolejne zagadnienie szeroko i wieloaspektowo poruszane w opowiadaniach dotyczy niesienia pomocy chorym, słabym, potrzebującym z rów-

noczesnym wyjaśnieniem problemu miłosierdzia względem drugiego człowieka. Dzieci dowiadują się na czym polega miłosierdzie, kształtują uczucie empatii do innych w rodzinie, w przedszkolu i uczą się bycia miłosierdnym oczywiście na miarę swoich możliwości.

W jasny i dostępny dzieciom sposób omawia się problem przyjaźni z równoczesnym wyjaśnieniem, co to słowo znaczy. Naśladowanie poznanych dobrych wzorów zachowań, przykłady oceniania zachowania swojego i innych, dawanie dobrego przykładu innym. To wszystko znajdziemy w opowiadaniach.

Opowiadania nie tylko skłaniają do refleksji nad własnym postępowaniem, ale stanowią inspirację do:

- samodzielnego układania łańcuskowych opowieści na podstawie wysłuchanego opowiadania;
- ekspresyjnego wyrażania własnego „Ja” w oparciu o przeżycia i uczucia własne;
- prezentowania niewerbalnego zachowania bohatera: ruchem, mimiką itp.;
- wyzwalania w działaniach artystycznych, wspomaganych przez nauczyciela, różnorodnych sposobów wynagradzania za wyrządzoną krzywdę;
- swobodne wypowiadanie się na temat wysłuchanego opowiadania i radosne odgrywanie ról ilustrowanych mimiką, gestem, ruchem lub słowem (dialog z rówieśnikiem) w oparciu o zachowanie bohatera utworu.

Opowiadania według notatek Edmunda Bojanowskiego są znakomitą pomocą dla rodziców i nauczycieli w procesie wychowania dzieci oraz ich edukacji. Do dziecka szybciej przemawia historia przeczytana, opowiedziana niż słowne pouczenie.

Uważam, że wydanie tych opowiadań to pomoc dla rodziców i nauczycieli nie tylko przedszkoli i placówek katolickich. Można jedno opowiadanie dziennie przeczytać np. „do poduszki”, a potem przez chwilę porozmawiać z dzieckiem o poruszonym problemie. Opowiadania te to również znakomity prezent dla dzieci samodzielnie czytających z okazji różnych uroczystości.

Ewa Zielińska
doradca metodyczny

Pewnej matce przyśniło się, że jej syn jedynak, kiedy skończy dwadzieścia lat, będzie musiał opuścić dom i pójść na swój chleb. Jeśli tego nie zrobi, zginie. Nadszedł w końcu dzień jego dwudziestych urodzin. Biedna matka wyprawiła syna w świat, a na drogę dała mu resztę pieniędzy, jakie miała. Młodzieniec poszedł w obce strony, a gdy już wydał wszystkie pieniądze, spotkał innego podróżnego, który przyłączył się do niego i poszedł z nim dalej. Doszli do karczmy, ale syn wędrowiec nie miał czym zapłacić. Wtedy jego towarzysz kazał mu włożyć rękę do kieszeni. Młodzieniec znalazł w niej tyle pieniędzy, ile dała mu matka. W następnych dniach podróży powtórzyło się to kilka razy, aż doszli do jakiegoś królestwa. Król wezwał ich i rozkazał aby mu pięknie wymalowali szubienicę. Ten kto się podejmie tego zadania, ożeni się z jego córką. Towarzysz młodzieńca pomalował szubienicę, więc król chciał oddać mu swoją córkę za żonę, lecz on wyznał królowi, że jest duchownym i nie może jej poślubić. Zaproponował, by to młody wędrowiec się z nią ożenił, ale pod jednym warunkiem – przez wyznaczony czas dzień i noc będzie się modlił w kościele. Król zgodził się na tę propozycję. Młodzieniec ożenił się z królewną i wypełnił pokutę zadaną przez swojego towarzysza. Gdy wchodził do kościoła, drzwi same się przed nim otwierały. Podczas ostatniej nocy towarzysz ukazał mu się w blasku promieni i powiedział, że jest jego aniołem stróżem i że teraz, kiedy już odpokutował za swoje grzechy, może wrócić do swojej tęskniącej za nim matki. Młodzieniec tak też zrobił i odtąd żył szczęśliwie.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 251¹.

<https://siostry.net/opowiadania/op01>



1. E. Gigilewicz, s. M. L. Opiela (red.), *Prace, szkice i notatki Edmunda Bojanowskiego. Inedita*, t. I i II, Lublin 2016.

Pewnej nocy przez las wędrowali brat z siostrą, oboje sieroty. Nagle z daleka ujrzeli światelko, a ponieważ byli głodni i zmęczeni wędrowką, odważyli się tam pójść. Zbliżywszy się do chaty, zajrzeli przez okno. Za stołem siedzieli mężczyźni, którzy wyglądali na zbójców. Głodne rodzeństwo widząc, że mężczyźni jedzą smaczny posiłek, zdecydowało się wejść do środka, a oni od razu zaprosili ich do wieczerzy. Gdy skończyli jeść, zbójcy naskoczyli na młodzieńca i powiedzieli, że jeżeli potrafi robić takie same sztuczki z piciem jak oni, to przyjmą go do siebie, a jeżeli nie, to zabiją jego i jego siostrę, aby nikomu nie wydali ich kryjówki. Młody wędrowiec zgodził się i powiedział, że wypije więcej niż wszyscy i że się podejmuje wypić kocioł gorącego piwa. Zaczęli więc warzyć piwo, a gdy było już gorące, młodzieniec zdjął kociołek z ognia i podniósł wysoko, lecz zamiast pić, chlusnął wrzącym piwem na zbójców, tak że im oczy poparzył i tak unieszkodliwionych pozabijał, oprócz jednego, który go prosił, by mu życie darował, a w zamian zostanie z nim i jego siostrą w lesie.

Po niedługim czasie dziewczyna pokochała zbójcę. Udając chorą, wysłała brata do lasu, aby jej przyniósł mleka od wilczycy, bez którego nie wyzdrowieje. Myślała, że w ten sposób jej brat zginie. Młodzieniec poszedł i spotkał wilczycę. Chciał ją zabić, aby zdobyć mleko, lecz ona dobrowolnie dała mu nie tylko mleko, ale i swoje wilczątko. Gdy wrócił do domu, siostra widząc, że nic mu się nie stało, wysłała go po mleko niedźwiedzicy. I brat przyniósł mleko niedźwiedzicy, od której dostał także młodego niedźwiadka. W końcu poszedł trzeci raz po mleko do dzików. Od maciory dostał i mleko, i warchlaczka. Wszystkie te zwierzęta brat chował w szopie i przezuwając zdradę, nauczył je na głos trąbki przybiegać do siebie. Siostra widząc, że tym sposobem nie pozbędzie się brata, postanowiła przygotować mu kąpiel i zachęcała go, by się orzeźwił i odświeżył. Brat dał się namówić i wszedł do kąpeli. Wtedy zbójca porwał go i przywiązał do słupa, który stał na środku chaty. Zaraz też przyniósł topór, żeby go zabić. Brat poprosił jednak, żeby przed śmiercią mógł ostatni raz zagrać na trąbce. Kiedy w nią zadął, zwierzęta wypadły z szopy, wyłamały drzwi, rozbiły szyby w oknach, wdarły się do domu i pożarły zbójcę oraz siostrę, którą choć może brat chciał obronić, to jednak nie mógł, ponieważ był przywiązany

do słupa. Gdy zwierzęta go uwolniły, wyruszył z nimi w świat. Wędrowali, aż doszli do pewnego miasta, gdzie panował groźny smok-ludożerca, który raz po raz domagał się najpiękniejszych dziewczyn na pożarcie. W tym czasie właśnie prowadzono mu królową, która sama poświęciła się dla miasta, aby go smok nie zniszczył. Widząc to młodzieniec, poszczuł smoka zwierzętami i pokonał go, a uwolniwszy królową, pojął ją następnie za żonę i spokojnie z nią królował.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 260-261.

<https://siostry.net/opowiadania/op02>



Opowiadali starzy ludzie, że dawno temu żył w mieście Lublinie straszny hulaka Brzezicki, który pił gorzałkę z każdym, kogo spotkał, nigdy nie trzeźwiał, nie wiedział kiedy jest noc, kiedy dzień, a nawet nie przebierał się, tylko w jednym płaszczu hulał po ulicach. Pewnego razu o północy, kiedy leżał w łóżku w swojej izbie, usłyszał, że ulicą przejeżdża powóz i że zatrzymuje się przed jego domem. Powóz zaprzężony był w czwórkę koni. Ktoś zszedł z kozła i wszedł po schodach prosto do jego izby. Drzwi się otworzyły, wszedł przez nie czart piekielny, stanął przy łóżku Brzezickiego i tak do niego powiedział:

– Przysłano mnie po ciebie. Wsiadaj do powozu!

– Nie, diable – odpowiedział przebiegły hulaka – Ja czwórką koni nie jeżdżę.

– Oto masz i szóstkę – odpowiedział diabeł.

W tej samej chwili do powozu było zaprzężonych sześć koni.

Brzezicki, chcąc się wyplątać z tej biedy, mówił do diabła:

– Powóz jest brzydki, a siedzenia odkryte.

Diabeł machnął chustką i wszystko w mgnieniu oka było takie, jak żądał pijaczyna. Brzezicki nie potrafił już znaleźć żadnej wymówki. Diabeł nalegał by z nim poszedł, a on nie chciał się ruszyć z miejsca. W końcu diabeł przywiązał sznur do nóg łóżka i zaczął ciągnąć wraz z Brzezickim, którego ogarnął wielki strach. Zaczął wzywać na pomoc swojego sługę – chłopca śpiącego w tej samej izbie. Ale obok chłopca stanął ktoś w bieli, zatrzymał go i nie pozwolił ruszyć się z miejsca, mówiąc:

– Porzuć tego człowieka. On idzie do piekła.

Następnie diabeł odezwał się do Brzezickiego:

– Jakie ty prowadzisz życie? Zobacz, oto wszystkie twoje grzechy, które popełniłeś od urodzenia, oto twoje ulubione zabawy. Teraz wzywasz na pomoc chłopca, a czy to nie ty go wczoraj zbiłeś za to, że poszedł na nieszpory?

I nagle tam, gdzie diabeł pazurem wskazał zaczęły się w izbie ukazywać różne straszidła: to jakieś roztargane głowy z wywieszonymi językami, które się paliły w szerniałych gębach, jak pochodnie w czeluściach, to kawały szkła tkwiące w poranionych głowach, a krwią napelnione oczy, świeciły

im się we łbach, jak u wilka, to znowu innymi okropnościami wypełniał się cały pokój. Diabeł chciał jeszcze bardziej okropne wizje wywołać, już zamachnął się ręką, gdy nagle zapiał kogut i wszystko z trzaskiem zniknęło. Na wpół żywy Brzezicki, z duszą na ramieniu, ledwo doczekał świtu, a jak tylko się rozwidniło, poszedł do klasztoru bernardynów i przez całe dwa tygodnie na krok się stamtąd nie ruszał, tylko się modlił, spowiadał i leżał krzyżem. To wszystko jednak nie pomagało, bo gdzie tylko spojrzał, tam mu się diabeł ukazywał w przeróżnych postaciach – to psa, to kota. Zarzekał się Brzezicki, że przez resztę życia kropli wódki do ust nie weźmie, ale nigdzie nie mógł zaznać spokoju. Dopiero po upływie połowy roku doszedł do siebie i już do śmierci w trzeźwości oraz wielkim żalu pokutował.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 179-180.

<https://siostry.net/opowiadania/op03>



W pobliżu rzeki Obry leży wieś Gryżyna, a jakiś kilometr za nią stoi zupełnie zrujnowany kościół św. Marcina. Przy kościele rośnie niebywalej wielkości brzoza. Wiele lat temu zmarło tam dziecko, które pochowano na cmentarzu koło kościoła. Pewnego dnia grabarz, który grób kopał, przybiegł do proboszcza, dając mu znać, że to dziecko, które zmarło przed tygodniem, wciąż wysuwa białą rączkę spod mogiłki. Proboszcz natychmiast wziął krzyż i stułę i pobiegł, żeby modlitwą poradzić coś na to niezwykłe zjawisko. Co się ziemi naprzeczował, co się namodlił, nic nie pomogło, zawsze na wierzch wychodziła dziecięca rączka. Nie widział więc innej rady i kazał kościelnemu w dzwony uderzyć, aby się zbiegli wszyscy parafianie. A gdy przybyli i otoczyli księdza kołem, zwrócił się on do matki zmarłego dziecka, aby wyjawiała tajemnicę, bo przecież musi być jakaś tajemnica, z powodu której to biedactwo nie może zaznać spokoju w grobie. Na to wezwanie matka, zanosząc się od płaczu, wyznała, że swego syneczka jedynaka psuła ciągłym rozpieszczaniem, a on się jej za to źle odpłacił, bo raz w gniewie odważył się ją uderzyć. Weź więc tę różgę – rzekł proboszcz do matki – i bij rękę syna, który domaga się wymierzenia kary ziemskiej. Matka, posłuszna rozkazowi księdza, uderzyła różdżką po rączce i oto rączka natychmiast schowała się pod ziemię. Na tę pamiątkę ksiądz proboszcz zatknął tę różdżkę na grobie i wyrosła z niej ta właśnie ogromna brzoza, którą ludzie pokazują niedobrym dzieciom jako przestrożę, a gdy i to nie pomaga, rwą różgi z tej brzozy i karzą nimi nieposłuszne dzieci.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 768-769.

<https://siostry.net/opowiadania/op04>



5

Garnek Świętego Efrema

Święty Efrema był człowiekiem z natury bardzo gwałtownym i często wybuchał gniewem, dlatego aby go w tym stanie nie widziano i aby uniknąć przyczyn gniewu, szedł na pustynię i tam pościł. Pewnego razu, gdy na poście spędził już kilka dni, nic nie jedząc, polecił swojemu słudze przygotować posiłek. Ten natychmiast przyrządził potrawę, ale niosąc ją do niego, upuścił garnek, który spadł na ziemię i się rozbił. Gdy zobaczył to święty Efrema, wpadł w gniew, lecz natychmiast się powściągnął i gniew przewyciężył. Wtedy z uśmiechem rzekł do sługi:

– Skoro ten garnek nie chciał przyjść do nas z potrawą, to my pójdziemy do niego.

Siadł nad rozbitym garnkiem i jadł z ziemi to, co zostało.

Historia ta pokazuje, że święci – jak mówi św. Ambroży – nie urodzili się z cnotami, ale na nie pracowali, zaś złe skłonności wykorzeniali z siebie pilnością i pracą nad sobą.

Zob. też: Święty Efrema

■ E. Bojanowski, t. I, s. 801.

<https://siostry.net/opowiadania/op05>



W roku 1820 we wsi Hucułów żył starzec nazwiskiem Garuch. Miał 68 lat, a swoją bogobojnością i cnotliwym życiem tyle sobie zaskarbił miłości i zaufania wśród swoich ziomków, że w rzeczach większej wagi i we wszelkich zatargach do niego głównie udawano się po radę. On godził zwaśnione strony, rozstrzygał zachodzące pomiędzy nimi spory. Słowem, wszyscy z ochotą na jego zdaniu polegali. Na jego wezwanie ludzie nawet najbardziej zaciętą nienawiść wyrzucali z serca, a braterski uścisk był przekonywującym dowodem, że zapomniano o wyrządzonych sobie krzywdach i powrócono do tej jedności i zgody, która to w największym stopniu przyczynia się do szczęśliwości tak pojedynczych rodzin, jak i całego narodu. Garuch całe swoje życie poświęcił służbie bliźnim. Miał dokładną wiedzę na temat stosowania roślin na rozmaite choroby i słabości. Chata jego zawsze była przytułkiem dla nieszczęśliwych. On zaś, pomimo zgrzybiałego wieku, był wsparciem i pociechą dla tych wszystkich, którzy udawali się do niego po radę i pomoc. Umarł w 85 roku życia. Nie było rzewniejszego obrazu, jak widok zebranych z okolic kilkuset Hucułów, by oddać ostatnią posługę zmarłemu. Wzniesiono mu nawet kopiec z kamieni, chcąc przez to uwiecznić pamięć jego cnotliwego poświęcenia się służbie współbraci. Obecny przy tym obrzędzie i do głębi nim dotknięty, zachowałem wspomnienie dobrego starca w tym krótkim rysie (*Pamiętniki historyczne* Milewskiego, s. 27-28).

■ E. Bojanowski, t. I, s. 878-879.

<https://siostry.net/opowiadania/op06>



Pewnego lata, jeszcze przed żniwami, były tak wielkie upały i słońce tak paliło, jakby żar lał się z nieba. W tym czasie szła przez rozgrzane pola uboga kobieta z killkorgiem dzieci. Ponieważ dzieci od skwaru już mdlały i nie mogły dalej iść, usiedli w chłodzie pod wierzbą, aby trochę odpocząć.

Niedaleko nad rowem staruszek pał krowę na powrozie. Zbliżywszy się, pochwalił Pana Boga i rzekł:

– W ciężki czas wędrujecie, uboga kobieto. Słońce przypieka, jak gdyby ogień z nieba padał, a ludzie nie mają jeszcze z czego upiec chleba. Chwała Bogu, że przynajmniej już urosły strączki na polu, to się niejeden podróżny z daru Bożego posili. Niech wasze dzieci, które już od skwaru osłabły, narwą sobie tu strączków przy drodze na polu mojego syna, bo skoro Pan Bóg dał nam ich dosyć, to trzeba się i z innymi podzielić.

Ale dzieci bojaźliwe, nie śmiały od razu po strączki pójść i dopiero matka, stokrotnie podziękowawszy staruszkowi, sama je na skraj pola zaprowadziła i rzekła:

– Oj, radość to dla dzieci największa.

A dzieci zadowolone weszły między bujne łodygi grochu, że im ledwie głowy było widać. Kobieta zwróciła się do staruszka:

– Ależ to, jak ubogi człowiek przechodzi, to boi się wyłuskać choć jeden strączek na cudzym polu. Ludzie też ponoć nie sieją grochu przy drodze, bo boją się, że im ktoś strączki będzie zrywał. – Toż to źle jest na świecie – odpowiedział staruszek i potrząsając siwą głową dodał – Nie to, co dawne czasy! Pamiętam, jak jeszcze byłem małym chłopcem, to najstarsi ludzie opowiadali i tak nas nauczali, że sianie grochu przy drodze był to staropolski miłosierny zwyczaj, aby także ubogi podróżny, w czasie przed żniwami, kiedy nowego chleba jeszcze nie ma, mógł pożywić się na polu z daru Bożego. Ludzie dawniej wierzyli, że taka jałmużna rozsiana przy drodze jest jeszcze milsza Panu Bogu, dlatego że obcy człowiek, który je zbiera, nie wie nawet, z czyjego pola ją zrywa i dziękuje nie gospodarzowi, a tylko same-mu Panu Bogu, od którego wszystko mamy, a przez to otrzymujemy także większe błogosławieństwo wszelkie i urodzaje.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 174-175.

<https://siostry.net/opowiadania/op07>



Żyli starzy rodzice – Abraham i Sara – których już w podeszłym wieku Bóg obdarzył potomstwem. Urodził im się syn, któremu dali na imię Izaak. Kochali go nad życie i co dzień za niego dziękowali Bogu. Kiedy Izaak już podrośł, pewnej nocy, jeszcze przed świtem, gdy chłopiec smacznie spał, jak każdy młody, któremu sen dodaje zdrowia i wzrostu, przyszedł do niego ojciec, obudził go i rzekł:

– Musimy wyruszyć w drogę. Wstań szybko i przygotuj się do podróży.

Izaak nie pytając czy daleko i po co idą, zerwał się ze snu i szybko wyszedł za umiłowanym ojcem na podwórze. Zobaczył tam osiodłanego osła i dwóch sług ojca, którzy mieli im towarzyszyć w drodze. Izaak wziął związane naręczce drewna i wyruszyli. Gdy już oddalili się od domu ojciec powiedział mu, że idą złożyć pokłon i dary Panu Bogu, dlatego zabrali ze sobą drewno.

– Przygotuj się, mój synu, żebyśmy z wielką czcią mogli złożyć ofiarę naszemu Stworzycielowi – dodał Abraham.

Szli tak jeden dzień i drugi, a końca drogi nie było widać. Stary ojciec był bardzo zasmucony i co chwilę ocierał łzy z oczu. Trzeciego dnia podróży, gdy ujrzeli w oddali górę, nakazał swoim sługom:

– Zostańcie tu i pilnujcie osła, a ja z moim synem wejdziemy na górę, oddamy cześć Bogu i wrócimy do was.

Ojciec wziął drewno i zarzucił je na plecy Izaaka, a sam niósł miecz i ogień. Gdy szli i byli już w połowie drogi, Izaaka spoconego i z wypiekami na twarzy z wysiłku, coś tknęło. Zwrócił się do ojca:

– Kochany ojcze!

Ten odpowiedział:

– Słucham cię, mój synu?

– Widzę, że niesiesz ogień, a ja drewno, ale nie widzę żadnego bydłatka, które mielibyśmy złożyć jako ofiarę.

Abraham otarł oczy i powiedział z ciężkim sercem:

– Drogi synu, Pan Bóg sam wybierze sobie ofiarę.

Gdy stanęli już na szczycie góry, Abraham zdjął wiązkę drewna z ramion zdyszanego syna i zaczął je układać. Izaak zastanawiał się skąd ojciec weźmie baranka na ofiarę. Spojrzał na niego i zobaczył, że łzy mu płyną z oczu. Abraham rzekł:

– Pytałeś mnie o ofiarę. Najukochańszy synu, to ty masz być ofiarą i barankiem Bożym. Bóg tamtej nocy, kiedy wyszliśmy z domu, tak mi rozkazał: „Weź syna twego jednorodzonego, którego miłujesz i ofiaruj go na całopalenie na pewnej górze, którą ci wskażę”.

Bardzo ciężko było Abrahamowi powiedzieć to swemu synowi. Kto zresztą, zwłaszcza tak młody, nie przestraszyłby się tych słów. Jednak Izaak nie padł przed ojcem na kolana by błagać go o ocalenie od tak strasznej śmierci. Wiedział bowiem kim jest Bóg i że każde stworzenie winne jest Mu posłuszeństwo, że każde słowo, które pochodzi od Boga, należy wypełnić. Z ufnością w sercu odpowiedział więc ojcu:

– Jeśli taka jest wola naszego Boga, rób to, co On rozkazał.

Zatem polecając i oddając się Panu Bogu swemu, z sercem ufającym i pokornym posłuszeństwem, zdjął szaty i podał ojcu ręce, aby je związał. Chociaż, gdyby był w wielkiej trwodze, mógłby się wyrwać ojcu, który drżącymi rękami go wiążywał. Ale Izaak sam położył się na drwach i czekał na śmiertelny cios mieczem. Czy ktoś kiedykolwiek widział u dziecka taką cierpliwość i posłuszeństwo wobec Boga i ojca? Izaak nie prosił ojca, żeby się namyślił, zastanowił, nie nazwał go okrutnikiem, ani nie uciekł. Uwierzył ojcu, że jest to wola Boża. Posłuszny, usłuchał ojca jako głosu Boga. Okazał ojcu posłuszeństwo w sposób tak prosty, a zarazem tak trudny i ciężki dla ojca. Gdy Abraham wyciągnął miecz, aby zabić syna, anioł Pański zawołał z nieba:

– Abrahamie, Abrahamie! Nie kieruj ręki swej na swojego syna i nie czyni mu nic złego. Teraz poznałem, że się mnie boisz, ponieważ dla mnie nie oszczędziłbyś nawet ukochanego dziecka.

Uradowany Abraham podniósł wzrok i zobaczył barana, który rogami zaplątał się w ciernia. Wziąwszy go i ofiarował Panu Bogu zamiast syna. Anioł Pański ponownie zawołał z nieba:

– Ponieważ nawet swojego syna byłeś w stanie poświęcić dla mnie, będę ci błogosławił i obdarzę cię potomstwem tak licznym, jak gwiazdy na niebie i piasek na morskim brzegu, a wszystkie narody będą w nim błogosławione.

Izaak rzucił się ojcu na szyję, później razem uklękli i gorąco dziękowali Panu Bogu. Uradowany Abraham z synem jakby na nowo narodzonym, zalewając się łzami szczęścia, zeszli w objęciach z góry i wrócili do domu.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 749-751.

<https://siostry.net/opowiadania/op08>



We wsi Górki pod Krakowem mieszkała Jadwisia. Pewnego razu bawiła się z koleżankami, a ponieważ nie zachowała ostrożności, wpadła na kwokę, która wysiadywała kurczęta, i przez nieuwagę wszystkie podusiła. Jadwisia uciekła na strych, bo bała się, że matka ją ukarze. Zaczęła się modlić i złożyła ślub:

– Jeśli kurczęta ożyją za wstawiennictwem Najświętszej Panny, to zostanę zakonnicą i całe życie poświęcę Bogu.

Utwierdzona uczynionym ślubem, wróciła na miejsce nieszczęścia, pozbiierała poduszone kurczęta i położyła je z powrotem pod kwokę, a one od razu odżyły. Jednak obietnica, którą Jadwisia złożyła w chwili przerażenia, poszła w zapomnienie, aż do czasu kiedy spotkało ją jeszcze większe nieszczęście.

Mieszkała z rodzicami blisko Wisły i pewnego upalnego dnia poszła nad rzekę wykąpać się. Przez nieostrożność trafiła na głęboką wodę i już zaczęła tonąć, gdy, jak jej się wydawało, Najświętsza Panna własnymi rękami wyciągnęła ją na brzeg, przypominając tym samym aby wypełniła złożony ślub. Od tego czasu Jadwisia nie miała spokoju, ponieważ nachodziły ją ciągle myśli o zakonie. W końcu, dotrzymując dziecięcego przyrzeczenia, została zakonnicą.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 766.

<https://siostry.net/opowiadania/op09>



Nad brzegiem pewnego jeziora mieszkał rybak. Często przewoził podróżnych, którzy aby skrócić sobie drogę przepławiali się łódką na drugi brzeg.

Po tamtej stronie jeziora, naprzeciwko chałupki rybaka, widać było wzgórze porośnięte ciemnymi lasami, na dole zaś, nad brzegiem, bieleły się szerokie mury i wysokie wieże wspaniałego klasztoru, który pięknie odcinał się na tle zielonych drzew i przeglądał się w szklących się wodach jeziora.

Któregoś dnia, a było to jakoś pod wieczór, rybak rozwieszał właśnie mokre sieci przy swojej chałupce, kiedy zobaczył, że zebrało się kilku podróżnych do przewiezienia na drugi brzeg, a między nimi był jeden zakonnik z klasztoru. A że rybak darzył wielkim szacunkiem ojców zakonników, także dlatego, że zawsze od niego najpiękniejsze ryby i raki do klasztoru kupowali, rzucił więc sieci, które właśnie przebierał, i czym prędzej pospieszył do łodzi.

Podróżni wsiedli, rybak się przeżegnał i łódkę odepchnął od brzegu, a jak się do wiosła przyłożył, to woda po obu stronach burty na boki się rozstępowała jak skiby spod pługa, a łódka pomykała na głębinach aż miło.

Wtem, kiedy już byli na środku jeziora, nie wiadomo skąd zerwał się taki wicher i powstał taki szum na jeziorze, że aż poczerniały głębiny, spienione bałwany wznosiły się i przewracały, a łódką zaczęło rzucać na wszystkie strony, tak że już rybak nie mógł sobie dać z nią rady. Wszystkich śmiertelny strach ogarnął, bo przed oczami widzieli już nadchodzącą śmierć. A im straszliwsza powstawała trwoga, tym bardziej do Boga wszyscy składali ręce i cisnęli się koło świętej osoby zakonnika, żeby ich swoją wstawiennictwem modlitwą kapłańską od zguby wybawił.

Wtedy świątobliwy zakonnik przemówił do nich w uroczystych słowach:

– Pan Bóg, bracia najmiłsi, sprowadził na nas ten szkwał. Widocznie ktoś spośród nas ciężko obraził Pana Boga. Niech wyzna swoje winy przed Bogiem, niech skruszonym sercem żałuje, niech za jednego wszyscy nie giną! Wszyscy zamilkli, tylko dziewczynka, płacząc, upadła zakonnikowi do nóg i zaczęła lamentować:

– Ojcze, to na pewno ja ten Boży gniew ściągnęłam, bo raz bardzo biedny mizerak kaleka wyciągnął do mnie rękę, tu na odpuszcie, a ja miałam

od matki parę groszy przy sobie i nie położyłam mu ani grosika na rękę, tylko poszłam między kramy i kupiłam sobie ten błyszczący pierścionek, który mam na palcu, żeby mi się na rękę świecił. I tego ani nie uznałam za grzech, ani się z tego nie spowiadałam. Bardziej wolałam widzieć marny pierścionek na moim palcu niż grosz w rękę biednego kaleki.

Dziewczyna ściągnęła z palca mosiężny pierścionek i precz go w wodę rzuciła. Ale wiatr nadal łódkę szarpał na wszystkie strony, woda wciąż szumiała i już zaczęła się do łódki wlewać.

Wtem jeden z tych ludzi, którzy w łódce byli, załamał ręce i głośno wołał:

– Nade mną! To nade mną, a nie nad kimś innym zawisła kara Boża! Oto jutro uroczyste święto, a ja, nieszczęsny, chciałem się przewieźć do boru...

■ E. Bojanowski, t. II, s. 207-210.

<https://siostry.net/opowiadania/op10>



Żył w pewnej wsi wdowiec, który miał jedną córkę Kasię. Po jakimś czasie ożenił się ponownie z wdową, która miała córeczkę Magdę. Złośliwa macocha nie miała żadnej litości dla swojej pasierbicy. Skarżyła się na nią do jej ojca, przez co dziewczynka musiała znosić wiele przykrości. W końcu kobieta postanowiła, że pozbędzie się Kasi z domu. Wymyśliła, że wyśle ją do lasu na jagody tam, gdzie na pewno zabłądzi. Któregoś dnia macocha powiedziała do dziewczynki:

– Idź tam, gdzie ojciec rąbie drzewo i zanieś mu śniadanie, a w ten dzbanuszek nazbieraj jagód.

Kasia poszła do lasu, ale nie mogła nigdzie znaleźć ojca. Błądziła i błądziła, a ponieważ była głodna, zjadła śniadanie, które niosła dla taty. Wreszcie wyszła na jakąś polanę i tam spotkała staruszkę. Kobieta zapytała, ją skąd idzie, a dziewczynka z płaczem opowiedziała jej o swoim nieszczęściu. Staruszka odrzekła jej na to:

– A nie chciałabyś pójść do mnie na służbę?

– Właściwie czemu nie? – odpowiedziała Kasia.

Staruszka zaprowadziła ją do swojego domu i powiedziała, co ma robić. Poleciała jej także, aby każdego ranka, kiedy będzie zamiatać podłogę, zanosila śmieci do skrzyni, która stoi w spiżarni. Na obiad dziewczynka dostawała trochę grochu i kaszy, które sobie gotowała. Mimo że sama miała niewiele jedzenia, dzieliła się nim jeszcze z psem i kotem. Kiedy upłynął rok, staruszka powiedziała do dziewczynki:

– Drogie dziecko, jeżeli chcesz, możesz wrócić do domu. Weź ze sobą skrzynię, do której wrzucałaś śmieci, włóż ją na wózek, zaprząż do niego pieska i kotka, a one w zamian za to, że je tak dobrze traktowałaś, zawiozą cię do domu.

Kasia tak właśnie uczyniła. Gdy dojechała do domu, zajrzała do skrzyni i zamiast śmieci, ujrzała tam kosztowności i piękne ubrania. W domu zapawała wielka radość, a kot i pies powrócili do swojej właścicielki.

Macocha ogarnięta zazdrością rzekła do męża:

– Wiesz co, pošlemy Magdę na taką samą służbę, aby i ona zdobyła taki majątek.

Magda uczyniła tak, jak wcześniej Kasia. Poszła do lasu, gdzie także natrafiła na staruszkę, która ją do siebie przyjęła i wyznaczyła jej taką samą pracę jak Kasi. Ale Magda, gdy składała śmieci do skrzyni, dodawała jeszcze chwastów, mchu i suchych liści, aby śmieci było więcej. A gdy jadła swój posiłek, często odpędzała łyżką psa i kota, które się przy niej łąsiły. Kiedy znowu upłynął rok, staruszka powiedziała Magdzie, że jeśli chce, może wrócić do domu i zabrać swoją skrzynię na wózek. Jednak tym razem pies i kot, zaprzężeni do wózka, nie chciały go ciągnąć. Magda musiała męczyć się więc całą drogę sama, by zawieźć skrzynię do domu. Kiedy tylko wjechała na podwórko, jej matka wybiegła, złapała skrzyni i z radością zaniósła ją do domu, ale gdy ją otworzyły, nagle z mchu i liści wyszły ukryte w nich gady, węże, padalce i jaszczurki, i tak pokąsały i pogryzły Magdę i jej matkę, że obie spuchły i wkrótce zmarły. A Kasia z ojcem żyła szczęśliwie i korzystała z bogactw, na które sobie zasłużyła i uczciwie zapracowała.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 781-782.

<https://siostry.net/opowiadania/op11>



12 Kazimierz Wielki na łowach

Było to podczas pięknej jesieni. Król Kazimierz postanowił wybrać się do sandomierskich lasów na polowanie. Ponieważ był to dzień Narodzenia Najświętszej Panny, dzień bardzo uroczysty, dlatego dworzanie odradzali królowi łowy, mówiąc, że to grzech. Jednak jakiś bezbożnik kuśił nadal króla i ten w końcu na polowanie pojechał. W tamtych czasach w lasach było znacznie więcej zwierzyny i to nie takiej jak dziś, tylko żubry, tury, niedźwiedzie, jelenie i łosie. Na zająca nikt nawet nie patrzył. Na łowy wychodziło kilkaset ludzi. Nie każdy młodzieniec miał na to odwagę. Nie znano wtedy broni palnej, więc na polowaniu każdy musiał z włócznią lub myśliwskim nożem atakować zwierza i walczyć z nim jak mężczyzna z mężczyzną. Król Kazimierz lubił takie polowania, więc wyruszył na koniu, a psy zaraz wytropiły jelenia z ogromnymi rogami. Król, choć był już starcem, poczuł w sobie młodzieńczy ogień, spiął konia i pognął za jeleniem przez zarośla i rowy. Na jego nieszczęście koń się potknął i przewrócił razem z królem, który potłukł się i zranił w nogę. W bólach został przewieziony do Krakowa, gdzie po niedługiej chorobie zmarł.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 767-768.

<https://siostry.net/opowiadania/op12>



13 Kładka

Był pewien chłopczyk, któremu zmarli rodzice i musiał pójść na służbę jako pastuszek. Paś bydło na podmokłym, błotnistym terenie przy ścieżce, która przez nie biegła. Ludzie, którzy tamtędy przechodzili, musieli zdejmować buty i brodzić w błocie po kostki. Kto tylko szedł tą drogą, narzekał, a wielu złorzeczyło temu miejscu. Pasterz widząc, że ludzie utyskują w takiej małej biedzie, płakał jeszcze bardziej nad swoim jeszcze większym losem nieszczęsnej sieroty i za dusze rodziców gorąco się modlił. Aż pewnego dnia nadszedł starzec, który dźwigał ciężkie torby i nie mógł przepawić się przez błotnistą drogę. Wtedy chłopiec pomyślał sobie: „Skoro tak bardzo pragnę, aby moi zmarli rodzice byli w niebie, to pomogę temu obładowanemu ciężarami staruszkowi przejść na suche miejsce, a w zamian poproszę go o modlitwę za ich dusze”. Mężczyzna podziękował chłopcu i powiedział do niego:

– Drogie dziecko, słyszałeś o św. Krzysztofie, który chcąc podobać się Panu Bogu i służyć bliźnim, przenosił podróżnych przez rzekę, choć sam nie był wysokiego wzrostu? Dlatego i ty, moje dziecko, pomagaj ludziom przechodzić przez to rozlewisko, a oni będą modlić się za twoich rodziców i Bóg będzie ci błogosławić.

Spodobało się to chłopcu, więc niejednego podróżnego przeprowadził przez błotnistą drogę i w zamian prosił o modlitwę za zmarłych rodziców. Gdy nadeszła jesień, wody wylały i zrobiło się zbyt głęboko więc mało ludzi tamtędy przechodziło. Zasmucony pastuszek pilnował więc już tylko bydła.

Aż pewnego razu na wezbranej wodzie zobaczył płynącą deskę. Przyglądał jej się, obserwował, a gdy koło niego przepływała, szybko podskoczył i długim kijem – takim jakiego używają pastuszkowie – wyciągnął ją na brzeg. Podczas gdy inni pastuszkowie zbierali drewno na ogień lub strugali patyki, on na desce wyrzeźbił znak stopy i próbował ułożyć kładkę na rozlewisku. Ludzie, którzy teraz tamtędy suchą stopą przechodzili, podziwiali jego pracę i na prośbę pastuszka chętnie odmawiali *Anioł Pański* za dusze jego rodziców. Wieść o tym rozniosła się po całej okolicy i każdy, kto tamtędy przechodził – chociaż chłopca już nie było – odmawiał *Pozdrowienie anielskie* za rodziców pastuszka. Ten pobożny zwyczaj rozpowszechnił

się na Litwie, gdzie na bagnistych miejscach nadal widuje się takie kładki z wyrzeźbionym znakiem stopy. Ludzie układają je w intencji zmarłych, a każdy przechodzień odmawia *Anioł Pański* za ich dusze.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 187-190.

<https://siostry.net/opowiadania/op13>



14 Konstancja Myszkowska (1561-1627)

Konstancja Myszkowska była kobietą o bardzo miłosiernym sercu, służyła ubogim i chorym, a kiedy nie miała ich w swoim domu, kazała ludziom szukać ich i przyprowadzać do siebie. Wychowywała także niezwykle pobożną dziewczynkę, która pomagała jej zajmować się biednymi i bezdomnymi. Pewnego razu, kiedy pani Myszkowska przyjmowała w pięknym salonie ważnych i licznych gości, nagle otworzyły się drzwi i wszyscy zobaczyli dziewczynkę, która weszła do eleganckich pokoi z niemalże nagim i brudnym chłopcem. Goście byli oburzeni jego niechlujnym wyglądem. Pani Myszkowska widząc to, wstała i upomniała dziewczynkę, pytając jak można przyprowadzać do salonu taki brudnego chłopca, zwłaszcza teraz, kiedy są w nim tak ważne osoby. Dziewczynka odpowiedziała jej:

– Jeżeli robimy to dla miłości Bożej, tym bardziej powinniśmy pomagać tym, którzy wydają nam się najbardziej odrażający i wywołują w nas większe obrzydzenie.

Po tych słowach pani Myszkowska zorientowała się, że sama źle się zachowała, reagując tak na widok chłopca. Poglaskała dziewczynkę po głowie i serdecznie przyjęła chłopca do siebie, a potem szczególnie się nim opiekowała.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 787.

<https://siostry.net/opowiadania/op14>



15 Krówka Jaremy

Pewnego wieczoru szedł sobie drogą chłopiec Jarema, który był bardzo psotny i skłonny do przykrych żartów. Gdy na tej drodze spotkał krówkę wracającą z pola, tak ją zaczął popędzać i gonić, a potem zawracać, że zapędził ją w końcu do lasu w gęstwinę i tam ją zostawił, a sam poszedł sobie do domu, wesoło pogwizdując. Nazajutrz rano, gdy szedł tą samą drogą, spotykał płaczącą kobietę, która się mu poskarżyła, że miała krówkę jedyną, która się wczoraj najwidoczniej zabłąkała w lesie i pewnie zjadły ją wilki, a ona teraz z pięciorgiem dzieci nie będzie miała co do garnka włożyć. Jarema zapytał kobietę, jakiej krówka była maści, a gdy kobieta odpowiedziała, że krówka była bura i łysa, zdał sobie sprawę, że to było to samo zwierzę, które poprzedniego wieczora napotkał na drodze i tak źle potraktował, ale nic nie powiedział, tylko poszedł w swoją stronę, i chociaż go to trochę zmartwiło, że przez swoją lekkomyślność stał się przyczyną biedy i płaczu ubogiej kobiety, to szybko wybił to sobie z głowy i wkrótce był tak samo wesoły jak przedtem.

Ale pewnego razu sam zabłądził w ogromnej puszczy. Chodził dzień i noc, ale nie mógł ani odnaleźć drogi, ani spotkać żadnego człowieka. Wreszcie w nocy ujrzał w tej ciemnej puszczy małe światełko migoczące w oddali. Poszedł więc w jego stronę, a przybliżywszy się, zobaczył jakichś ludzi o dzikich twarzach, którzy siedzieli wokoło ogniska, a przy nich połyskujące noże i strzelby. Na ognisku w kotle gotowało się pachnące jedło. Domyślił się, że to zbójcy i bardzo się przeląkł. Był jednak tak zmęczony i wygłodniały, że już nie mógł uciekać, a zresztą nawet by nie wiedział, gdzie i którędy, dlatego zbliżył się do nich i pokornie poprosił o nocleg przy ognisku. Zbójcy go przyjęli, nawet poczęstowali swoją strawą, a zmęczony chłopak położył się na murawie i zasnął twardo. Wtem go coś budzi. Widzi, że zbójcy zniknęli, a jacyś obcy zbrojni ludzie obstępują go, chwytają i zakuwają w kajdany. Bo właśnie w pobliskim mieście dowiedziano się, że zbójcy przebywają w tych lasach i wysłano na nich całą gromadę uzbrojonych ludzi. Chociaż Jarema się tłumaczył i opowiadał, jak się tu znalazł, jednak dla zbrojnych jego przynależność do rzezimieszków była tak oczywista, że go jak zbójcę do więzienia wtrącono, bito, męczono, ale nic im się z niego o pozostałych zbójcach wydobyć nie udało. W takiej nędzy i niedoli

przesiedział Jarema cały rok i często do Boga gorąco się modlił, żałąc się że tak niewinnie musi cierpieć biedę. Aż którejś nocy ukazał mu się we śnie jakiś starzec i łagodnie przemówił: Dlaczego obwiniasz za niesłuszną karę Pana Boga, czy już zapomniałeś krówkę biednej wdowy? Wiedz, że cudze łązy trzeba własną krwią odkupić, bo Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! Ale już dosyć wycierpiałeś za tę wyrządzoną krzywdę i teraz z tą nauką wrócisz wolny do domu!

Właśnie w tym czasie złapano tych zbójców, a po ich zeznaniach Jarema został wypuszczony na wolność. Potem często powtarzał, że we wszelkich nieszczęściach, zanim się zaczniemy na Boga uskarżać, trzeba prześledzić całe swoje życie, a na pewno znajdziemy tam jakąś krówkę Jaremy. Przestrzegał również, że Pan Bóg nie tylko za samą kradzież, ale nawet za przechowanie lub zagubienie cudzej własności surowo karze.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 777-778.

<https://siostry.net/opowiadania/op15>



16 Krystynka Lubomirska

Krystyna Lubomirska dość wcześnie straciła matkę i została oddana na wychowanie do swojej ciotki. Jako dziecko była bardzo wesoła i często przeszkadzała innym domownikom w ich zajęciach, zachęcając ich do zabawy z nią. Z tego powodu ciotka często przywiązywała ją do nogi od stołu i dawała jakieś zajęcie – ręczną robótkę albo książkę do czytania. Początkowo wydawało się Krystynce, że są to prace przykre i nudne. Z czasem jednak poświęcała mniej czasu na swawole, a więcej na naukę i czytanie książek, a kiedy skończyła dziewięć lat, postanowiła złożyć obietnicę, że od tej pory będzie grzeczna i każdego dnia będzie unikać wszelkich przewinień

Aby wzmocnić ważność dotrzymania ślubu, oddała się Najświętszej Pannie na wierną służebnicę i zapisała to na kartce własną krwią z palca, który specjalnie po to przekuła. Kartkę tę przechowywała w ukryciu i dopiero przed śmiercią pokazała ją swojemu spowiednikowi.

Od chwili złożenia ślubu dziewczynka była posłuszna swojej ciotce, bardzo życzliwa i dobra dla wszystkich. Ludzie również ją kochali i nie mogli się jej nachwalić. Krystynka całe życie była jak święta i w żaden sposób nie naruszyła ślubu, który złożyła Najświętszej Pannie jeszcze jako dziecko.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 765-766.

<https://siostry.net/opowiadania/op16>



17 Ks. Piotr Baudouin*

Żył w Warszawie pewien bardzo miłosierny, ale także bardzo ubogi ksiądz. Gdy widział tułające się bez opieki dzieci, zmuszane do żebrania, wzbierała w nim wielka litość nad nimi i żałość tym bardziej dotkliwa, że nie mógł im ofiarować żadnej pomocy, bo sam był tylko biednym zakonnikiem. Poruszony do żywego nędzą dzieci, podjął w duchu postanowienie, że temu nieszczęściu musi zaradzić i założyć przytułek dla opuszczonych dzieci. Aby zrealizować to zamierzenie potrzebował jednak dwóch rzeczy – wielkiej wytrwałości i pieniędzy. Ufny w Bożą Opatrzność zaczął chodzić od domu do domu ze skarbonką i zbierać składki, żebrząc u ludzi o wspomnienie dla tych biednych dzieci. Pewnego razu przechodząc przed jednym z domów, zobaczył wspaniałe powozy i lokajów w złotych błyszczących liberiach. Okna jaśniały intensywnym światłem, a z wnętrza dochodziła wesoła muzyka. Zapukał do drzwi i wszedł do środka. W jednym z wielkich pokoi siedzieli przy stole bogaci panowie, którzy grali w karty i całe góry złota przegrywali. Zakonnik zbliżył się do tego pana, przed którym leżało najwięcej wygranego złota i drżącym głosem przemówił do niego, pokornie prosząc o pomoc i wsparcie dla biednych sierot. Na te słowa zakonnika pan rozgniewał się i z jakąś zaciekłością i złością w głosie warknął, że mu w grze przeszkadza, a potem z gniewem uderzył go w twarz.

Zakonnik z pokorą przyjął obelgę i wymierzony mu policzek, a potem rzekł:

– To pan wielmożny dał dla mnie, a co będzie dla biednych sierot?

Wtedy wszyscy bardzo się zdumieli pokorą zakonnika i z miejsc powstali, a ów pan, rzuciwszy się na szyję zakonnikowi, oddał mu srebrną tacę z całym złotem, które posiadał. W ślad za nim również inni panowie dorzucali swoje złoto. Z czcią wyprowadzony z domu zakonnik zaniósł ten wielki skarb dla sierot. Od tego czasu zakonnik miał wielkie poważanie u wszystkich, a ludzie przynosili mu dary tak liczne, że wystawił wspaniały dom dla sierot imienia Dzieciątka Jezus, w którym do dziś wdzięczne sieroty co rano za duszę jego w modlitwie ręce wznoszą do nieba.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 785

*czytaj: Boduę

<https://siostry.net/opowiadania/op17>



18 Księżyc w wodzie

W pewien parny świętojański wieczór, przy nocnych zorzach i blasku księżyca, przed wiejskimi domami długo słychać było rozmowy ludzi. Nad brzegiem stawu, który ciągnął się przez środek wsi, pluskały się dzieci i zrywały młode wierzbowe pędy, aby ozdobić domy przed nadchodzącym dzień św. Jana. Jedno z dzieci stojących na brzegu, domagało się uporczywie, żeby starszy brat, który wynosił rośliny z wody na brzeg, przyniósł mu księżyc, który tak ślicznie, jak złoty krąg, unosił się na wodzie. Inni chłopcy głośno się z niego śmiali, więc maluch zaczął płakać tak rzewnie, aż musiała przyjść jego matka, żeby go utulić. Ponieważ chłopiec koniecznie chciał dostać księżyc z wody, matka zaczęła tłumaczyć mu, że to niemożliwe. Pokazywała mu księżyc na niebie, a kamyczkiem rzucała w staw, rozpryskując światło na wodzie, ale w żaden sposób nie mogła uspokoić dokuczającego dziecka. Po chwili starszy brat przyniósł naręcze wierzbowych pędów i jeszcze śmiejąc się z żądań zapłakanego braciszka, zapytał matkę:

– Jeśli już narwałem wiąz, to czy mógłbym pójść z chłopakami do lasu. Północ jest już blisko, a my chcemy poszukać kwiatu paproci, który, jak ludzie mówią, kwitnie tylko w wigilię św. Jana o północy. Kto go znajdzie, ten będzie wszystko wiedział i dostanie wszystkie skarby. Mamo, żebym ja też taki kwiat znalazł, to bym był mądry i bogaty.

Matka ze śmiechem klasnęła w dłonie i zwróciła się do zapłakanego synka, które tarło jeszcze oczy i nie mogło podarować sobie, że nie dostanie księżyca z wody:

– Teraz ty się śmiejesz, moje dziecko, ze swojego starszego braciszka, tak jak on śmiał się z ciebie, gdy chciałeś dostać księżyc z wody, którego tam nie ma. On chce szukać kwiatu paproci, która nigdy nie kwitnie.

A do starszego syna powiedziała:

– Gdzie ty masz rozum, chłopcze, żeby w takie rzeczy wierzyć? Tak jak twojemu małemu bratu pokazywałam, że księżyc jest na niebie, a w stawie tylko jego słabe światło, tak i tobie trzeba pokazać, że w niebie jest Pan Bóg, a kto Go szuka i kocha, ten wie wszystko i posiada wszystko, co wartościowe. Niech więc w głębi twego serca zakwitnie gorąca wiara, a nie będziesz potrzebował w głębi lasu szukać ognistego kwiatu paproci i będziesz miał

wszystkie skarby, bo Pan Jezus powiedział: „Szukajcie przede wszystkim Królestwa Niebieskiego, a reszta dana wam będzie”.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 177-178.

<https://siostry.net/opowiadania/op18>



19 Kwiatki z cmentarza

W pewien niedzielny wieczór dzieci bawiły się w pobliżu wiejskiego kościoła. Psotni chłopcy, łobuziaki, znaleźli na cmentarzu kości i ukradkiem rzucali nimi w jabłka i gruszki, które z sąsiedniego sadu wystawały za ogrodzenie cmentarza. Wyśmiewali się oni z dziewczyn, które na cmentarzu zbierały kwiaty, a one tak im odpowiedziały:

– Wolimy zbierać te kwiaty, ponieważ, jak mówili starsi ludzie, kwiatki zerwane na cmentarzu przynoszą szczęście.

– A my wolimy rzucać w gruszki i jabłka, zbierać je, a później najeść się nimi, a nie czekać aż spotka nas jakieś szczęście – mówili chłopcy.

Usłyszał to pielgrzym, który szedł drogą i stanął przy płocie. Przestraszone dzieci zamilkły, widząc nieznajomą postać. Miał on na głowie wielki kapelusz, szarą pelerynę i siwą długą do pasa brodę. Jedną ręką opierał się na wysokiej lasce, a drugą uniósł do góry i grożąc chłopcom, zawołał:

– O, dzieci, dzieci! Żle się bawicie! Dziś jest niedziela, dzień święty i to miejsce jest święte. Nie można go znieważać! Czy słyszycie dochodzące z karczmy na drugim końcu wsi wykrzykiwania hałastry.

I mówił dalej:

– Wy dziś bierzecie kości waszych przodków i śmiecie nimi strącać owoce z cudzego sadu, aby zaspokoić wasze łakomstwo. A co będzie potem? Roztrwonicie resztę tego, co wam po ojcach zostanie i jeszcze, jak ci w karczmie i karciarze, będziecie sięgać po cudzy majątek i zakazany owoc wszelkiej niewstrzeżliwości.

I przestrzegał ich:

– Biada, biada wam, jeżeli będziecie się tak bawić! Lepiej byście zrobili, gdybyście tak jak dziewczęta, zbierali kwiatki na cmentarzu. One mówią, że te kwiatki szczęście im przyniosą. I mówią prawdę. Ale ja powiem wam, jakie to kwiatki rosną na cmentarzu i jakim szczęściem obdarzają człowieka. Te kwiatki to cnoty tych, co już umarli, ich dobre obyczaje, przykłady i pobożne zwyczaje, ich nauki, doświadczenie, mądre przysłowia, stare i pouczające historie, które w zimowe wieczory opowiadali, to są przestrogi i błogosławieństwa, które wam dawali na łożu śmierci. Te kwiatki, to wszystko to, co nam się wyraźnie przypomina, kiedy jesteśmy na ich grobach.

I mówił dalej:

– A jeśli tego nie rozumiecie, to zerwijcie kwiatki na cmentarzu, zanieście je do swoich domów i zatknijcie przy krzyżach nad waszymi łózkami, a kładąc się spać i wstając rano, gdy na kolanach modlić się będziecie przed krzyżem, zobaczycie także kwiatki z cmentarza i przypomnicie sobie tych zmarłych, z których grobów je zrywaliście. I wtedy ich dobre rady będą was pociągać ku dobru, a od wszelkiego zła powstrzymywać. A jeśli będziecie te dawne przestrogi wypełniać, sprawdzą się na was słowa, które za waszymi przodkami powtarzacie, że kwiatki z cmentarza przynoszą szczęście.

Miejcie więc w domu kwiatki z cmentarza na pamiątkę życia waszych przodków. A żebyście i o mnie, starym pielgrzymie, który wam tę naukę przekazał, pamiętały i pobożnie za mną westchnęły, zostawiam wam coś na pamiątkę.

Starzec wyjął książeczkę i podał ją dzieciom, które z bojaźnią wzięły ją do rąk i wszystkie od razu zaczęły ją oglądać. Przeczytały tytuł na okładce *Pielgrzym z Dobromilu* i nagle podniosły oczy na starca, ale jego już nie było.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 191-193.

<https://siostry.net/opowiadania/op19>



20 Kwiatki z cmentarza II

W pewien niedzielny wieczór dzieci bawiły się w pobliżu wiejskiego kościoła. Psotni chłopcy, łobuziaki, znaleźli na cmentarzu kości i ukradkiem rzucali nimi w jabłka i gruszki, które z sąsiedniego sadu wystawały za ogrodzenie. Wyśmiewali się oni z dziewczyn, które na cmentarzu zbierały kwiaty, a one tak im odpowiadały:

– Wolimy zbierać te kwiaty, ponieważ, jak mówili starsi ludzie, kwiatki zerwane na cmentarzu przynoszą szczęście.

– A my wolimy rzucać w gruszki i jabłka, zbierać je, a później najeść się nimi, a nie czekać aż spotka nas jakieś szczęście – mówili chłopcy.

Usłyszał to pielgrzym, który szedł drogą i stanął przy płocie. Przestraszone dzieci zamilkły, widząc nieznajomą postać. Miał on na głowie wielki kapelusz, szarą pelerynę i siwą długą do pasa brodę. Jedną ręką opierał się na wysokiej lasce, a drugą uniósł do góry i grożąc chłopcom, zawołał:

– O, dzieci, dzieci! Żle się bawicie! Dziś jest niedziela, dzień święty i to miejsce jest święte. Nie można go znieważać! Czy słyszycie dochodzące z karczmy na drugim końcu wsi wykrzykiwania hałastry.

I mówił dalej:

– Wy dziś bierzecie kości waszych przodków i śmiecie nimi strącać owoce z cudzego sadu, aby zaspokoić wasze łakomstwo. A co będzie potem? Roztrwonicie resztę tego, co wam po ojcach zostanie i jeszcze, jak ci w karczmie i karczmarze, będziecie sięgać po cudze majątek i zakazany owoc wszelkiej niewstrzeżliwości.

I przestrzegał ich:

– Biada, biada wam, jeżeli będziecie się tak bawić! Lepiej byście zrobili, gdybyście tak jak dziewczęta, zbierali kwiatki na cmentarzu. One, chociaż dobrze nie rozumieją dlaczego, to szanują to, co od starszych usłyszały i w swej prostocie wierzą, że te kwiatki przyniosą im szczęście.

Zwrócił się do dziewcząt:

– Dziewczęta, zrywajcie te kwiatki na cmentarzu i nieście je do swoich domów, zatknijcie je przy krzyżach nad waszymi łózkami, a kiedy codziennie na kolanach modlić się będziecie, patrzcie na kwiatki z cmentarza i przypominajcie sobie z czyich grobów były zrywane. Wtedy, jak spod ziemi, usłyszycie w waszych sumieniach głosy tych, którzy już zmarli, ich

słowa przestrogi i ostatnie błogosławieństwa, którego wam na łożu śmierci udzielali. Wtedy wszystkie dobre wydarzenia, pobożne zwyczaje i mądre nauki staną wam przed oczami. Przypomnicie sobie, jak was za rękę do kościoła prowadzali, jak zimowymi wieczorami siadaliście razem i słuchali ich opowieści i i pieśni! Wtedy pamięć po przodkach waszych nie zaginie, a duch ich będzie obecny w domach waszych i na wszystkich drogach waszego życia, którymi iść będziecie. Wówczas będziecie żyli zgodnie z ich radami, jakby oni ciągle z wami żyli, i będziecie im posłuszni, i przypomną się wam dobre, dawne czasy, i będziecie szczęśliwi. Wtedy zrozumiecie to, czego was uczyli, że takie kwiatki przypomnienia zrywane na cmentarzu obdarzają szczęściem. I wtedy ich dobre rady będą was pociągać ku dobru, a od wszelkiego zła powstrzymywać. A jeśli będziecie te dawne przestrogi wypełniać, sprawdzą się na was słowa, które za waszymi przodkami powtarzacie, że kwiatki z cmentarza przynoszą szczęście.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 190-191.

<https://siostry.net/opowiadania/op20>



21 Leszczyna

Dawniej niektórzy ludzie mieli taki zwyczaj, że kiedy rodziło się im dziecko, sadzili w sadzie jabłonkę albo gruszkę, albo jakieś inne drzewko, aby rości razem z dziećmi i służyły im w późniejszym życiu. Pewien ojciec w dniu narodzin swojego syna zasadził w sadzie leszczynę. Po kilku latach, kiedy chłopiec już trochę podrośł, a leszczyna się rozkrzewiła, ojciec zaprowadził go do niej i powiedział:

– Popatrz, ta leszczyna rośla razem z tobą, ale jak dotąd nie miała jeszcze orzechów, bo była za młoda. Podobnie i ty jeszcze nie możesz pracować, bo jesteś za mały. Ale na leszczynie już w tym roku urosną pierwsze orzechy, więc i ty musisz zacząć pracować, by zarobić na chleb, gdyż nie pochodzisz z zamożnej rodziny i musisz od małego przyzwyczajać się do pracy. Mówią o leszczynie, że dopóki rośla w raju, dopóty miała miękkie orzechy, bez żadnych twardych łupin. Gdy Pan Bóg wygnał z raju Adama, ten na wędrownkę wziął sobie kij z leszczyny i poszedł w pusty świat, gdzie nie było żadnego drzewa, które dawałoby chód. W pocie czoła musiał pracować żeby przeżyć. W tej swojej biedzie Adam wsadził leszczynowy kij w ziemię, a on wypuścił gałązki i zaczął rodzić orzechy, ale już nie takie miękkie jak w raju, tylko w twardych łupinach, które musiał tłuc aby dostać się do orzecha.

– Widzisz, moje dziecko – mówił dalej ojciec – my też jesteśmy ubodzy i też musimy w pocie czoła pracować na kawałek chleba. Dlatego zasadziłem ci leszczynę, abyś nie zjadł z niego orzecha dopóki go nie rozłupiesz i w ten sposób nie nauczysz się jeść z tego, na co sam sobie zapracujesz. Jeśli się tego, nie daj Boże, nie nauczysz jako dziecko na całe dalsze życie, wtedy na tej samej leszczynie urośnie ci kij laskowy i będziesz tułał się po świecie, prosząc o chleb.

Od tej pory kiedy chłopiec był pilny, ojciec przypominał mu o orzechach, a dając jeść, mówił:

– Bez pracy nie ma kołaczy.

Kiedy zaś syn był leniwy, ojciec prowadził go pod leszczynę i ostrzegał:

– Patrz, jak wyrasta ci kij na żebranie.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 172-173.

<https://siostry.net/opowiadania/op21>



22 Michał Ugolin

Michał Ugolin, którego nazywano Verin albo Verino, czyli lubiący prawdę, urodził się we Florencji w 1487 roku. W szkole był najlepszym uczniem, zawsze szybciej niż koledzy wszystkiego się nauczył, a jednocześnie cechowała go skromność i nigdy się nad innych nie wywyższał. Przeciwnie, był bardzo przyjacielski, wszystkich traktował równo, po bratersku. Koledzy za to bardzo go kochali. Ale jeśli zrobili coś głupiego albo niegrzecznego, to unikali go i wstydzili się przed nim, jakby był kimś starszym albo ich przełożonym. Zdarzało się i tak, że Michał jednym tylko spojrzeniem albo jednym słowem powstrzymywał kolegów od zrobienia czegoś złego i przywoływał ich do porządku. Wyjątkowo zaś nie lubił kłamstwa. Nawet w żartach i dla zabawy nie mógł ścierpieć, gdy ktoś mówił nieprawdę. Dlatego koledzy zaczęli nazywać go Prawdzickim.

Pewnego razu, co mu się często, a nawet prawie zawsze zdarzało, Michał dostał nagrodę za najlepiej napisane dyktando. Ale był też chłopiec, który koniecznie chciał mu dorównać. Trudził się i mozolił, jednak mimo najlepszych chęci nie mógł zdobyć najwyższej oceny. Bardzo się przez to smucił i często płakał, że go Pan Bóg nie obdarzył takim zdolnościami. Jakoś zauważył to Michał i żał mu się zrobiło kolegi. Dlatego następnym razem, kiedy znów pisali dyktando, zrobił specjalnie trochę błędów, tak że tamten chłopiec otrzymał najlepszą ocenę i z radości skakał i klaskał w ręce, ciesząc się, że chociaż raz wyprzedził Prawdzickiego.

Michałek, o tym co zrobił, nikomu słówka nie pisał, bo też nigdy nie chwalił się dobrymi uczynkami. Ale nauczyciel zaczął go przepytować i zmuszać, żeby się przyznał, czemu tak zaniedbał naukę i tyle naraz błędów w dyktandzie zrobił. Chłopiec, chociaż mu się przykro zrobiło, odpowiedział szczerze nauczycielowi, Wolał by jego przysługa się nie udała, aniżeli skłamać. Poprosił jednak nauczyciela, żeby tego nikomu nie mówił, żeby już nie zasmucać tamtego chłopca.

Niedługo po tym wydarzeniu, Michał, mając zaledwie kilkanaście lat, zmarł, pozostawiając w głębokim żalu rodziców i wszystkich, którzy znali to kochane dziecko.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 196.

<https://siostry.net/opowiadania/op22>



23 Młodość Daniela

Gdy Daniel był małym dzieckiem, razem z wieloma innymi Izraelitami został wzięty do niewoli przez króla babilońskiego i wywieziony daleko od ojczyzny. Wśród uprowadzonego ludu był też mężczyzna o imieniu Joachim, do którego często przychodziło dwóch żydowskich starszych, którzy zostali wybrani na sędziów, aby rozsądzać krzywdy i rozstrzygać spory między przebywającymi w niewoli Izraelitami. Jednak byli oni bardzo złymi ludźmi i swą niegodziwość pokazali w domu Joachima. Oskarżyli jego żonę Zuzannę, bardzo dobrą i pobożną kobietę, że w sadzie pod jakimś drzewem, z jakimś obcym człowiekiem planowała jakąś wielką zbrodnię.

Wtedy w domu Joachima zebrali się ludzie i płacząc, ubolewali nad losem Zuzanny, a śludzy dziwili się, gdyż nikt wcześniej złego słowa o niej nie powiedział. Sędziowie wezwali żonę Joachima i oskarżyli ją przed całym ludem, który w te oszczerstwa uwierzył i skazał ją na ukamienowanie. A gdy ją prowadzono na śmierć, z tłumu nagle odezwał się głos dziecka:

– Ta kobieta jest niewinna!

Na te słowa wszyscy się zatrzymali i pytali:

– Kim jest ten, kto to powiedział? Niech wyjdzie na środek i niech się wytłumaczy.

Przez tłum przecisnął się dwunastoletni chłopiec. Ze śmiałością i pewnością siebie malującą się na twarzy powiedział:

– Wróćcie do sądu, ponieważ Zuzanna została fałszywie oskarżona.

Wszyscy ludzie posłuchali i zawrócili. A gdy byli na miejscu zawołali do niego:

– Chodź, zasiądziesz za stołem i osądzisz tę sprawę, bo Bóg obdarzył cię mądrością sędziego człowieka.

Chłopiec zasiadł więc za stołem i nakazał:

– Rozdzielcie tych dwóch starców tak, by nie mogli się porozumiewać. Trzeba ich przepytywać oddzielnie i sądzić każdego z osobna.

Wezwawszy pierwszego starca zapytał:

– Jeśli widziałeś tę kobietę w ogrodzie, planującą jakąś zbrodnię, powiedz, pod jakim drzewem ją widziałeś?

Starzec odpowiedział:

– Pod trzmielcem.

Odprowadzili go i przyprowadzili drugiego mężczyznę. I jego chłopiec zapytał:

- Powiedz mi starcze, pod jakim drzewem widziałeś tę kobietę?
- Pod jodłą.

Wtedy uradowany chłopiec zawołał:

- Widzicie jak obydwaj kłamią!

Wszyscy obecni głośno błogosławili Boga, że wybawił niewinną Zuzannę. Potępili starców za ich fałszywe oskarżenie i wyznaczyli im karę ukamienowania, czyli taką samą, na jaką oni skazali Zuzannę. Od tej pory chłopiec, który z natchnienia Bożego ujawnił prawdę, miał wielkie poważanie w oczach ludzi.

Niedługo po tym wydarzeniu król babiloński rozkazał znaleźć wśród izraelskich dzieci pięknych i zdolnych do nauki chłopców, którzy zamieszkaliby z innymi młodzieńcami w pałacu królewskim i uczyli się tam pisma, a potem na zawsze pozostali w służbie króla. Wśród tych dzieci znalazł się też Daniel, a z nim trzej inni: Ananiasz, Misael i Azariasz. Jako posiłek król wyznaczył im potrawy ze swego stołu, które sam jadł, i wina, które sam pił. Jednak mały Daniel, który chciał przestrzegać obyczajów swojej wiary, postanowił, że żadnych zabronionych pokarmów nie będzie jadł u króla. Do tego namówił również trzech swoich towarzyszy. Gdy ze stołu królewskiego przyniesiono im mięsne potrawy i wino, nie chcieli ich jeść i pić, lecz poprosili tylko o wodę i jarzyny.

Ale sługa królewski, pod którego opieką byli, powiedział do nich:

– Musicie jeść potrawy królewski i pić wino, bo jeśli byle co będziecie jeść, wasze twarze będą chudsze od twarzy waszych rówieśników, a wtedy król mnie ukarze. Daniel rzekł jednak do swego przełożonego:

– Przez dziesięć dni dawaj nam do jedzenia tylko jarzyny, a do picia wodę i obserwuj nasze twarze.

Opiekun chłopców zrobił tak, jak go Daniel prosił. A po dziesięciu dniach ich twarze okazały się pełniejsze od twarzy innych chłopców, którzy jedli królewskie dania. Przełożony brał więc dla siebie mięsne potrawy i wino, które były dla nich przeznaczone, a dawał im jarzyny i wodę. Te proste dania nie osłabiły ich także w nauce. Oczywiście Pan Bóg obdarował ich wielką mądrością, bo gdy w swoim czasie, gdy zaprowadzono ich do króla, okazali się najmądrzejsi wśród swoich rówieśników, a o cokolwiek ich król zapytał, odpowiadali lepiej od najstarszych mędrców. A mały Daniel, który swoich towarzyszy zachęcił do wstrzemięźliwości od zakazanych przez ich wiarę pokarmów, i sam pierwszy dał świadectwo wierze, wyrósł na proroka.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 751-754.

<https://siostry.net/opowiadania/op23>



24 Mogiła leśna

Pewien ubogi chłopiec zbierał w lesie gałązki na opał i już sporą wiązkę na plecach dźwigał, tak że ledwo powłóczył zemdlałymi nogami w grubej warstwie opadłych liści. Naraz zerwały się przed nim spłoszone wrony. Chłopiec tak się przestraszył, że aż mu wszystkie włosy na głowie dęba stanęły i zimny dreszcz przeszył całe jego ciało. Za chwilę złąkł się jeszcze bardziej, gdy dostrzegł leżącego pod drzewem, obdartego, zabitego i podziobanego przez wrony człowieka. Wystraszył się w duszy i w pierwszym odruchu chciał uciekać, ale mu gałęzie ciążyły na plecach, chciał je rzucić, ale pomyślał: „na czym matka jeść ugotuje?”. W tym samym momencie jakby go dobry duch natchnął i wstąpiła w niego niespodziewana śmiałość i odwaga. Bardzo mu się żał zrobiło tego zabitego człowieka, więc pomyślał sobie: „Ja z tymi gałęziami nie mógłbym prędko uciekać do domu, ale przynajmniej przykryję nimi tego człowieka, żeby go wrony nie dziobały”. Szybko poukładał na nim gałęzie i co tchu popędził w stronę domu. A wieczorny wiatr coraz groźniej szumił i trzask suchych drzew rozlegał się w lesie. Wtem na dróżce jeszcze większe przerażenie ogarnęło biednego chłopca, bo oto z łoskotem i trzaskiem przewraca się przed nim spróchniałe drzewo i w poprzek drogi upada, a z rozdartego pnia rozsypuje się coś błyszczącego na ziemię. Przestraszony chłopczyk ani nie dojrzał w mroku co to było, ani nawet nie miał czasu patrzeć, tylko przedarł się przez zawałoną grubymi gałęziami dróżkę i jeszcze prędejsz do domu uciekał. Gdy matka zobaczyła wybladłego chłopca, że bez gałązek do domu powraca i że ze strachu nie może słowa z siebie wydusić, cała struchlała. Musiało minąć trochę czasu, zanim chłopiec z trwogi trochę ochłonął i całe zdarzenie opowiedział matce, która zaraz dała znać do wsi o zabitym w lesie człowieku i o wszystkim, co się jej synkowi przydarzyło. A chociaż tego wieczoru nie miała na czym ugotować czegoś ciepłego do jedzenia, to była szczęśliwa i gorąco dziękowała Bogu, że przynajmniej jej syn z życiem uszedł.

Nazajutrz przed ich domek zajechał wóz z ogromnym pniem drzewa i grubymi gałęziami, które aż się za wozem po drodze ciągnęły. Na koniu przyjechał też tamtejszy dziedzic, zsiadł przed chałupką, przywiązał ruma-ka i wszedł do izby. Pochwalił Pana Boga i rzekł:

– Dowiedziałem się o wszystkim, co się waszemu chłopcu wczoraj w lesie przytrafiło. Za miłosierdzie, które wyświadczył zabitemu człowiekowi, Pan Bóg szybko wam nagrodę zesłał. Ludzie, którzy dziś rano poszli to miejsce oglądać, zobaczyli na leśnej dróżce wywrócone wielkie suche drzewo, a przy rozdartym pniu znaleźli rozsypane na dróżce pieniądze i pokrwawioną chustę. Widocznie zbójcy zrabowali je temu nieszczęsnemu człowiekowi i w tym spróchniałym drzewie schowali. To było zrządzenie Boże, że właśnie na tę dróżkę i w tym czasie, kiedy wasz chłopak uciekał, wiatr powalił to suche drzewo. Kazałem je dla was przywieźć, abyście mieli pełen wóz drzewa za wiązkę tamtych gałązek. Ale Bóg też zrządził, że z tego samego drzewa wysypały się jakby pod stopy miłosiernego chłopca zbójckie pieniądze, które wam Pan Bóg od tego zabitego w lesie człowieka w nagrodę przysyła.

– Widzisz moje dziecko – zwrócił się dziedzic do chłopca – jak Pan Bóg szybko każdy najmniejszy dobry uczynek nagradza. Ucz się więc wiernie wypełniać wszystkie Boże przykazania i pielęgnuj w sobie cnoty chrześcijańskie, tak jak wczoraj wypełniłeś uczynek miłosierdzia co do pogrzebania zmarłych, a Bóg ci pobłogosławi i cudowną opatrność swoją zawsze ci okazywać będzie, tak jak ją ci dzisiaj okazał. (...)

W całej wsi, a nawet w okolicy opowiadali ludzie o tym wydarzeniu, a w lesie, na miejscu, gdzie znaleziono tego zabitego człowieka, na pamiątkę ułożyli stos gałęzi, którymi go chłopczyk wtedy przykrył. Od tego czasu, gdy ktoś tylko przechodził, siedł na grzyby albo na jagody, czy też ktoś ze wsi po drzewo do lasu jechał – każdy na mogiłę dorzucił jakąś zieloną gałąź i za duszę zmarłego odmówił pobożnie pacierz. Nazywali to jałmużną dla zabitego. (...)

I tak jedną marną wiązką chrustu miłosierny chłopiec ufundował na wieczne czasy nieustające modlitwy za duszę tego nieszczęśliwego człowieka, który nagłą i niespodziewaną śmiercią zginął i nie mógł się usprawiedliwić przed Bogiem. Dlatego dusza taka potrzebuje większej pomocy, by osiągnąć szczęśliwość wieczną.

Od tego czasu, jeśli gdzieś tylko znajduje się opuszczony grób, ludzie rzucają gałązki i modlą się, aby oddać cześć zmarłym i w ten sposób dopełnić uczynek tego miłosiernego chłopca, którego Pan Bóg wynagrodził za to, że w swoim życiu wypełniał to, czego się z katechizmu nauczył.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 196-201.

<https://siostry.net/opowiadania/op24>



25 0 męczennikach kazimierskich

Bardzo dawno temu, gdy królem w Polsce był Bolesław Chrobry, w puszczy niedaleko obecnego miasta Kazimierz, mieszkało pięciu pustelników: Jan, Mateusz, Izaak, Krystyn i Barnabasz. Zbudowali sobie oni małe chatki z chrustu, uprawiali warzywa w ogródkach i gorliwiej pracowali przy obróbce kamieni, z których mogliby potem zbudować kościół. Byli oni pracownicy jak chłop polski, a przy tym żyli skromnie, jedząc tylko korzonki i warzywa, które sami wyhodowali w ogrodzie.

Pewnego razu był w tych okolicach król i gdy wybrał się na polowanie, trafił na to wykarczowane miejsce, gdzie stało kilka chatek i było trochę ziemi uprawnej. Król pozdrowił pustelników, o których nigdy wcześniej nie słyszał, podziwiał ich pobożne życie i ciężką pracę, którą wykonywali na chwałę Bożą. Widząc ich ubóstwo, chciał im pomóc. A że był wspa- niałym i wielkim królem, oddał im całe złoto i srebro, które miał przy sobie i na sobie.

Z królem spotkali się tylko czterej pustelnicy. Piąty, który był z nich najstarszy, wyszedł wtedy gdzieś do puszczy. Tych czterech przyjęło dary króla, a wszystko to widzieli królewscy dworzanie i pozazdrościli im skar- bów. Mówili między sobą, że te kosztowności bardziej by im posłużyły na dworze, niż pustelnikom w puszczy.

Gdy król już odjechał, nadszedł też najstarszy pustelnik. Bardzo się zmartwił, że towarzysze przyjęli dary królewskie, ponieważ jako pustelnicy nie powinni posiadać żadnych bogactw. Zabrał więc złoto i srebro i poszedł oddać je królowi. W tym czasie źli dworzanie, którzy widzieli jak król dawał skarby pustelnikom, naradzili się i w nocy wyruszyli do puszczy z mieczami, włóczniami i pochodniami, żeby zrabować te skarby. Napadli na chatki, związali pustelników i zmuszali ich do wyznania, gdzie schowali złoto i srebro. Pustelnicy powiedzieli prawdę, że najstarszy brat poszedł oddać skarby królowi, bo oni jako pustelnicy nie powinni mieć żadnych kosztowności. Rabusie nie wierząc temu, splądrowali wszystkie chaty, rozkopali wokół ziemię. Podejrzewając, że pustelnicy zakopali kosztowności gdzieś w ziemi, torturowali ich, żeby wskazali im to miejsce. Zaczęli ich bić, rąbać i kłuć, aż zabili wszystkich czterech. Pan Bóg szybko zesłał na nich karę. Zaczęli błądzić wokół jakby postradali zmysły, nie mogli znaleźć powrotnej

drogi do domu i zachowywali się tak, jakby stracili rozum. Biegali wkoło zabitych pustelników i ich chat, trzymając w rękach zakrwawione miecze i zapalone pochodnie. Chcieli je wyrzucić w jakieś ukryte miejsce, lecz nie mogli ich z rąk wypuścić i trzymali je w górze, biegając jak obłąkani.

Tymczasem wrócił najstarszy pustelnik, a gdy zobaczył co się stało, natychmiast wyruszył do króla, by mu donieść o strasznym męczeństwie i dworzanach-zabójcach, którzy zachowywali się jakby stracili rozum. Król od razu wysłał swoich łuczników i kazał im schwycić obłąkanych zbrodniarzy. Kiedy ciała męczenników z wielkim szacunkiem złożono w jednym grobie, król wymierzył zbójcom karę. Kazał przykuć ich łańcuchami do tego grobu i do śmierci trzymać o głodzie, by patrzyli na mogiłę zamordowanych przez siebie pustelników. Ale odezwały się sumienia w ich skamieniałych sercach i wszyscy przysięgli, że zanim umrą z głodu, będą pokutować i żałować za grzechy. Gdy tylko uklękli przed grobem, natychmiast pękły łańcuchy i byli wolni. Padli na ziemię i zaczęli dziękować Bogu za swoje wybawienie. Nie wiedząc jak lepiej mogliby pokutować, udali się na to miejsce, gdzie dokonali zabójstwa. Podeszli do pustelnika i prosili, by mogli z nim zamieszkać w pustych chatkach, by został ich przełożonym i by mogli pokutować w puszczy do śmierci. Pustelnik odpuścił im winę, chętnie ich przyjął i do końca życia mieszkał z nimi w tych chatkach. Po jakimś czasie nad grobem męczenników wybudowano kościół z kamieni, które pustelnicy obrabiali. Można go oglądać do tej pory. A później wybudowano także miasto, które nazywa się Kazimierz.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 772-773.

<https://siostry.net/opowiadania/op25>



26 O ubogiej matce

Latem przed wiejskim dworkiem, w cieniu rozłożystego drzewa, wśród kwiatów, wokół stołu siedziały przy podwieczorku zamożne rodziny z dziećmi.

Nagle na podwórzu weszła uboga kobieta z małym dzieckiem na rękę. Podeszła nieśmiało i położyła na stoliku złożoną kartkę, na której zapewne była zapisana prośba. Jedna z pań, nie czytając już prośby, sięgnęła do kieszeni po pieniądze. W tym czasie stojąca przy stole jej córeczka wzięła kartkę, rozłożyła ją i zawołała zdziwiona:

– Ach! Co to za śliczny obrazek!

Wszyscy spojrzeli najpierw na włożony w kartkę obrazek, który przedstawiał Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem na rękę, a potem mimowolnie podnieśli wzrok na ubogą matkę, trzymającą mizerne dziecko.

– Skąd się tu wziął ten obrazek? – Zapytał któryś z patrzących – Czy to tylko przypadek, kochana mamo, czy też przyszedł ci na myśli ten szczęśliwy pomysł, by włożyć obrazek i by przemawiał do serc bardziej niż pismo, w którym prosisz nas o wsparcie?

– Najmocniej przepraszam – powiedziała strapiona uboga kobieta – nie wiem jak mam to powiedzieć. Ten obrazek dał mi anioł miłosierny jako jałmużnę. Namalowana na nim Matka miłosierdzia, wszędzie gdzie nie pójde, jest mi orędowniczką mojej prośby. Pewnego razu przyszłam, tak jak tu dzisiaj, do jakiegoś domu. Podałam napisaną na kartce prośbę. Jałmużnę wyniosła mi młoda dziewczyna, a gdy oddawała mi kartkę, włożyła w nią obrazek i powiedziała: „Niech pani weźmie, proszę, ode mnie ten obrazek i modli się do Najświętszej Panienki, a Ona pani pomoże tak, jak ja bym chciała pomóc”. Potem, kiedy następnym razem poszłam prosić o pomoc, przypadkiem dałam prośbę razem z tym obrazkiem i dostałam dużo większą jałmużnę niż poprzednio. Od tamtego czasu już za każdym razem wkładałam go w kartkę, bo widzę w tym znak miłosiernego Boga.

Ledwo skończyła mówić, każdy z siedzących przy stole zaczął wyjmować pieniądze jako pomoc dla niej i kłaść na obrazek. Bogata pani i jej dzieci poszły do domu i przyniosły trochę ubrań i rzeczy z których dzieci już wyrosły. Wszyscy z ciekawością wypytywali gdzie spotkała tę miłosierną dziewczynę i jaka ona była. Ale uboga kobieta, która wędrowała z dalekich

stron, nie znała ani jej nazwiska, ani miejscowości, w której ona mieszkała. Wiedział to tylko Pan Bóg, a ludziom pozwolił patrzeć, jak szczerą chęć przemienia się w miłosierdzie.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 213-214.

<https://siostry.net/opowiadania/op26>



27 Piszczatka

Dwaj chłopcy, rodzeni bracia, poszli z dzbanuszkami do lasu na maliny. Młodszy był dobrym chłopcem, zawsze zgodnym i cichym, natomiast starszy był zazdrosny, łakomy i kłótniwy. Jak tylko pod krzaczkami malinowymi zasiedli, zaraz starszy brat zaczął najlepsze jagódki zjadać, a te najgorsze do dzbanuszka wrzucać. Młodszy zaś, chociaż też niejedną malinę spróbował, to jednak te najpiękniejsze wrzucał do dzbanuszka, bo biedna matka miała nazajutrz iść z tymi malinami do miasta, żeby je sprzedać i kupić trochę chleba, którego – jak to zwykle w czasie przed żniwami – dawno już nie miała. Dlatego też młodszy brat starszemu tłumaczył, że takich odpadków nikt od matki nie kupi i że to jest grzech łakomstwa, tym bardziej że się tym nikt nie nasyci, a za dzbanuszek malin można kupić bułkę chleba. Jednak starszy brat się tym nie przejął, za to się na braciszka złościł i już mu się pięścią odgrażał. A gdy zobaczył, że on ma w dzbanuszkach o wiele piękniejszych malin, chciał mu je koniecznie z rąk wyrwać. Doszło do tego, że się zaczęli mocować/siłować, uderzać, aż starszy, niewiele myśląc, złapał kamień jeden i drugi i zaczął rzucać nimi w brata. Ten chował się za krzaczki, uciekał i prosił, żeby przestał, ale starszy brat bez opamiętania podniósł jeszcze jeden kamień i rzucił tak mocno, że braciszek, trafiony w skroń, upadł na miejscu. Dopiero wtedy przeszedł go ze strachu dreszcz. Zaczął brata cucić, przewracać, podnosić, ale nic już nie pomagało, braciszek zbladł, postawił oczy mu znieruchomiały, westchnął ciężko i skonał. Nie wiedząc, co począć, niedobry chłopiec zawlekl martwego braciszka do dołu, który został w lesie po wykopanym pniaku, i przysypał go ziemią i suchymi liśćmi, a sam, zostawiwszy oba dzbanuszki i rozsypane maliny, pobiegł z krzykiem do matki, żeby powiedzieć jej, że braciszka w lesie wilki zjadły, a on sam ledwo z życiem uszedł. Lamentowała nieszczęsna matka nad taką straszną śmiercią swego dziecka i często dawała na Msze Święte za jego duszyczkę. W końcu utuliła się matka w swoim ciężkim żalu. Tymczasem nie tylko mech i trawa, ale nawet spora już wierzba zdążyła wyrosnąć na tym miejscu, gdzie leżał zabity chłopczyk. Złemu bratu, chociaż też coraz bardziej rósł, nie przez myśl nie przeszło, żeby żałować za ten grzech wołający o pomstę do nieba, tylko chodził jak zbój i z oczu mu źle patrzyło. A chociaż był już czas najwyższy, żeby iść do spowiedzi, to jednak nie poszedł, żeby nie

wyznać przed nikim swojego grzechu. A ponieważ go matka wciąż do spowiedzi wysyłała, to w końcu ze wsi gdzieś zniknął i więcej nie wrócił. Ludzie, którym w tych lasach czasem rabusie drogę zastępowali, mówili, że tego chłopaka widzieli między rozbójnikami. Aż pewnego razu król polował w tych lasach i usłyszał z bliska jakieś bardzo dziwne granie na piszczałce. Zaintrygowany, podjechał w to miejsce, z którego dochodziły dźwięki i zobaczył obdartego chłopaka, który natychmiast przestał grać i osłupiały patrzył, trząsł się ze strachu, a piszczałkę wypuścił z rąk. Król, bardzo zadowolony, kazał chłopcu jeszcze raz zagrać, ale ten się wzbraniał i w żaden sposób nie chciał, aż w końcu zmuszono go groźbą królewską. Ledwie zadął, a już sama piszczałka grała takie straszne słowa:

Graj, braciszku graj,
Boże cię skaraj!
Tyś tu zabił mnie kamieniem
I pochował nad strumieniem,
Boże cię skaraj!
Graj, braciszku graj,
Boże cię skaraj!
Wyrośli ci tu wierzbiczki,
Z których kręcisz piszczałeczki,
Boże cię skaraj!

Chłopiec – włóczęga się oblał zimnym potem i wypuścił z rąk piszczałkę. Król zdumiony przywołał swoich dworzan, kazał swemu słudze podnieść piszczałkę i zagrać na niej. Gdy ten tylko przyłożył ją do ust, zaczęła grać:

Graj człowieku, graj,
Bóg ci pomagaj!
Brat mnie zabił tu kamieniem
I zagrzebał nad strumieniem,
Boże go skaraj!

W ten sposób król dowiedział się o zbrodni. Chcąc przykładowie ukarać tego złego chłopca, który jeszcze na grobie zabitego przez siebie braciszka piszczałki strugał, żeby sobie na nich wesoło wygrywać, a które go tak cudownie wydały, osądził, że ma on taką samą śmiercią zginąć, jaką zadał braciszкови. I rozkazał go ukamienować. Potem polecił, by z tych kamieni,

którymi zły chłopiec został zabity, mogiłę mu usypać. I od tego czasu, kiedy ktoś ze wsi jechał tamtędy po drzewo do lasu albo szedł na grzyby, albo dzieci szły na maliny, to każdy odmawiał pacierz przy tej mogile i dorzucał na nią kilka kamieni, aby nigdy nie zaginęła pamiątka tej strasznej zbrodni i kary.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 773-775.

<https://siostry.net/opowiadania/op27>



Dawniej, kiedy ludzie zachowywali różne pobożne zwyczaje, od dnia Bożego Narodzenia wszyscy świętowali wieczory, ponieważ Pan Jezus narodził się w nocy. Nikt więc już wtedy nic nie robił, nikt nie przął, nie rąbał drzewa, za to dzieci i dorośli bawili się przy szopce, przygotowywali jasełka, śpiewali kolędy o małym Panu Jezusie. W pewnym domu w jeden z takich świątecznych wieczorów, matka siedziała ze swoimi dziećmi przy stole i pokazywała im obrazek, który przedstawiał Najświętszą Panienkę z malutkim Panem Jezusem na osiołku uciekających do Egiptu oraz św. Józefa, który w dużym kapeluszu i z wysokim kijem prowadził osiołka. Po ich obu stronach leżały zaś wywrócone jakieś pogańskie bałwany. Dzieci z uwagą patrzyły na obrazek i z zaciekawieniem słuchały matki, która tak im opowiadała:

– Widzicie, moje dzieci, powiadają, że jak Najświętsze Dzieciątko wjechało do jakiegoś pogańskiego kraju, to tam gdzie tylko rączką skinęło, przewracają się pogańskie bałwany!

– A co to jest bałwan? – pytały dzieci.

– Kiedyś ludzie, którzy jeszcze nie znali prawdziwej wiary i w byle co wierzyli, tworzyli sobie różne figury, którym oddawali cześć. Zresztą do dziś są tacy, którzy wierzą w jakieś gusła, czarownice, które na miotłach latają czy inne zabobony. Zapamiętajcie to sobie, moje drogie dzieci, żebyście od małego nigdy w takie rzeczy nie wierzyły, tak jak malutki Pan Jezus, który gdzie się obrócił, to przed nim ta pogańska wiara upadała.

Następnego dnia dzieci, pamiętając przestrogę, wybiegły na śnieg lepić bałwany jako figury. Zamiast oczu wsadzały węgle, na głowy doczepiały rogi, a zamiast rąk stare miotły. Potem rozbijały je, rzucając w nie bryłami śniegu i wołały:

– Hej! Przewracamy bałwany jak Pan Jezus mały.

Dzieci wyśmiewały się z czarów i wcześniejszych swoich przesądów. Wkrótce i przed innymi domami dzieci zaczęły lepić takie bałwany. Niektórzy do dziś stawiają śniegowe figury, choć nie wszyscy wiedzą, na jaką pamiątkę.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 169-170.

<https://siostry.net/opowiadania/op28>



29 Święty Efrem

Pewnego razu św. Efrem postanowił wyruszyć z pustyni do miasta. Prosił Pana Boga, aby spotkał takiego człowieka, z którym mógłby porozmawiać o sprawach duchowych i który wpłynąłby budująco na jego duszę. Jak tylko wszedł do miasteczka spotkał kobietę. Zdumiał się więc, że go Pan Bóg nie wysłuchał i zesłał mu kogoś innego. Zaczął przyglądać się kobiecie, ale ona również wlepiła w niego oczy i wzroku od niego nie odwracała. Wtedy św. Efrem, chcąc ją zawstydzić, powiedział:

– Czy nie wstyd ci patrzeć na mężczyznę tak zuchwale?

Ona mu zaś odpowiedziała:

– Dla mnie nie jest niczym dziwnym, że patrzę na mężczyznę, skoro zostałam stworzona z mężczyzny, ale tobie bardziej wypada patrzeć w ziemię, z której powstałeś, niż na mnie.

Efrem, usłyszawszy te słowa, dziwił się Bożym drogom, kobiecie za naukę dziękował, a zwróciwszy swe serce do Pana Boga, wychwalał Jego mądrość, że tam gdzie się nie spodziewał, pozwolił mu osiągnąć duchową korzyść.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 801.

<https://siostry.net/opowiadania/op29>



30 Święty Jan Kanty

Pewnego razu rozbójnicy napadli św. Jana Kantego, który szedł drogą. Zabrali mu wszystkie pieniądze i pytali, czy gdzieś nie ukrył jeszcze czegoś. On jednak, zapomniawszy, że w płaszczu miał zaszytych kilka czerwonych monet, powiedział, że więcej nic nie ma. Ale gdy rozbójnicy już trochę odeszli, przypomniał sobie o ukrytych pieniądzach, zawołał do złodziei, by zawrócili i tak im powiedział:

– Nie chcę kłamać, więc weźcie to, o czym zapomniałem.

Oni zdziwieni jego szczerością i uczciwością, przeprosili go i oddali wszystko co mu ukradli.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 779.

<https://siostry.net/opowiadania/op30>



31 Niebieska rosa

Padające w lecie deszcze, które bardzo użyźniają ziemię, nazywano w Polsce rosą niebieską. Przenośnia ta, która odnosi się do urodzajów ziemskich, pochodzi z zapamiętanych przez ludzi z nabożeństwa roratniego słów z Księgi Izajasza (45,8): „Obłoki niech ześlą z deszczem Sprawiedliwego. Niech się otworzy ziemia i zrodzi Zbawiciela”. Gdy patrzono na lekkie chmurki, podlewające ożywym deszczem zboża, z których spodziewano się chleba, to wyobrażano sobie przychodzącego Pana na lekkim obłoczku, jakby w ciele Najświętszej Maryi Panny (św. Hieronim), tak jakby ona na kształt obłoczka, spuszczała na ziemię deszcz łaski Chrystusowej (św. Ambroży).

■ E. Bojanowski, t. II, s. 234.

<https://siostry.net/opowiadania/op21>



Żył kiedyś prosty Hazak, płóciennik z Zielonej Wsi. Nazywał się Karkosz, ale ludzie nie mówili na niego inaczej jak tylko misjonarz. Był to człowiek, który wszystkich kochał, człowiek, jakiego ze świecą po świecie szukać. Zapewne gdyby go ktoś do rany przyłożył, to by się rana natychmiast zagoiła. Dlatego też jeśli w którejś wiosce hazackiej zdarzało się, że dzieci starych rodziców nie szanowały, czy gdzieś było małżeństwo niezgodne, albo gdzieś bywały burdy i pijaństwo po karczmach, zaraz się w tej wiosce pojawiał nasz misjonarz, a wszędzie z nim Pan Bóg wchodził, wchodziła pociecha niebieska i stawał się pokój temu domowi, w którego progi wstępował. Gdy tylko się dowiedział, że gdzieś tam, nawet daleko od Zielonej Wsi, choćby i na drugim końcu Hazaczyzny, jakaś wdowa żyła w nędzy albo sierota w biedzie, już go na drodze widziano, jak niósł pakunek z bochenkiem chleba czy z miarką mąki lub grochu. A kiedy się ludzie temu dziwili, on na te ich słowa pokornie tylko odpowiadał słowami Pisma Świętego:

– Religijność czysta i bez skazy wobec Boga i Ojca wyraża się w opiece nad sierotami i wdowami w ich utrapieniach i w zachowaniu siebie samego nieskalanym od wpływów świata.

Bardzo często umiał też słowa o świętej wierze właściwie powiedzieć, bo był z niego człowiek dość uczony w Piśmie, chociaż wszystkiego sam się nauczył, czytając książki. A zanim szkoły we wsiach pootwierano, to nawet zbierał dzieci ze wsi w swoim domu i uczył je katechizmu. Ludzie opowiadają, że ten wiejski misjonarz nieraz i do innych wiosek hazackich przychodził, żeby dzieci przed pierwszą spowiedzią świętą katechizmu uczyć. Trudno byłoby znaleźć drugiego takiego jak on człowieka – pilnego do pracy i do Kościoła.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 163.

<https://siostry.net/opowiadania/op32>



33 O Królu Pyszałku (legenda górnośląska)

Dawno temu żył pewien król, który miał tak ogromne królestwo, że żaden ptak nie zdołałby go oblecieć, i miał tak wielkie skarby, że nawet najgłębsze jezioro można było nimi zasypać. Królowi wydawało się, że na całym świecie nie tylko nie ma bogatszego od niego człowieka, ale że i w niebie nie ma Pana Boga, który byłby nad nim. Wskutek takiego mniemania o sobie, król wbił się w taką wielką pychę, że pewnego razu powiedział:

– Jestem tak bogaty, jak sam Bóg, i w mojej zamożności jestem Jemu równy.

Ale od tej godziny ogarnęła go jakaś tęsknota i od tej pory nie mógł już sobie znaleźć spokojnego miejsca. Następnego dnia pojechał konno w pola, aby przegonić zmartwienie i zająć myśli czymś innym. Gdy ujrzał przy drodze czystą rzeczulkę, przyszła mu chęć, by dla ochłody się wykąpać. Przywiązał więc konia do drzewa, zdjął z siebie królewskie szaty i położył je pod krzakiem na brzegu, a sam wszedł do wody i czując rozkoszny chłód, zapomniał o całym świecie. Tymczasem jego anioł stróż włożył na siebie jego szaty, stając się podobny do króla jak dwie krople wody, wsiadł na konia i pojechał na zamek. Gdy król wyszedł z kąpieli, zobaczył, że nie ma ani szat, ani konia. Stojąc na wietrze w odludnym polu, zawołał żałośnie:

– Przecież zaledwie wczoraj ogłosiłem się najbogatszym człowiekiem na świecie, bogatszym od samego Boga, a dziś stoję nagi, tak jak mnie matka urodziła. Co teraz pocznę?

Wstyd mu było iść do zamku, więc rad nierad siedział nago w krzakach aż do wieczora. I dopiero, gdy się trochę ściemniło, ukradkiem przedostał się do zamku. Długo kołatał do wrót, zanim zjawili się wartownicy. Widząc człowieka nagiego, ze zdziwieniem zapytali, kim jest i czego chce. A kiedy on odpowiedział, że jest ich królem we własnej osobie i chce wejść do zamku, wtedy strażnicy stracili cierpliwość, wypchnęli go za bramę i jeszcze pogrozili mu batem, biorąc go za jakiegoś zuchwałego włóczęgę. Król, dotknięty do żywego takim upokorzeniem, drżąc od nocnego chłodu na całym ciele jak listek osiki, uciekał nagi, gdzie go oczy poniosły, aż wpadłszy do najbliższego lasu, poobdzierał się o ciernie i jałowce, a nogi poobił o kamienie i korzenie leśne. Przedzierał się tak przez gęsty bór, sam nie wiedząc dokąd idzie, aż o wschodzie słońca ujrzał pochyloną chatkę,

a przed nią siwego pustelnika. Starzec przyjął nagiego króla, przyodział go w stare pustelnicze szaty, a kiedy wysłuchał jego historii, rzekł:

– Uznaj w tej przygodzie działanie wszechmocnej ręki Boga, który cię za twoją pychę, tak surowo ukarał. Pokutuj tu za grzechy swoje, a może Bóg po ciężkiej próbie ześle ci pociechę i zwróci królestwo.

I tak król zamieszkał ze starcem w jego pustelni i cierpliwie czekał na wypełnienie się woli Bożej.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 218-219.

<https://siostry.net/opowiadania/op33>



34 O Piotrze Duńczyku

Piotr Duńczyk był wielkim i hojnym panem, który za swoje grzechy, za przyzwoleniem Bożym, oślepl. Pojechał więc po radę do Krakowa do tamtejszego biskupa. Biskup wysłuchał gościa, a następnie wszedł do kościoła na modlitwę, aby go Pan Bóg oświecił. Pomodliwszy się gorąco, wyszedł i powiedział do Piotra:

– Piotrze! Wystaw trzy klasztory i siedem kościołów, a Pan Bóg ci wzrok powróci.

– A kiedyż to będzie? Czy długo trzeba będzie na to czekać? – zapytał się Piotr z niecierpliwością. A biskup mu na to:

– Czyń, co ci mówię, wystaw trzy klasztory i siedem kościołów, a Pan Bóg ci wzrok przywróci.

Zaraz Piotr Duńczyk wziął się do budowy i skąd tylko mógł cieśli i murarzy sprowadził. Prace szły dobrze, ale Piotr chciał być mądrzejszy od biskupa i wystawił trzydzieści klasztorów i siedemdziesiąt kościołów. Jednak na nic się to wszystko nie zdało i nadal był niewidomy. Wrócił więc rozżalony do Krakowa do biskupa, a ten go zaraz ofuknął:

– Cóż to za pycha, człowiecze! Przecież kazałem ci trzy klasztory i siedem kościołów wybudować. Idź i czyń, jak ci rozkazano.

Nieborak, zdjawszy pychę z serca, postawił trzy klasztory i siedem kościołów i natychmiast wzrok odzyskał.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 780.

<https://siostry.net/opowiadania/op34>



35 O rozstępowaniu się ziemi

Latem, kiedy nastawały upały i wielka susza, a ziemia zaczynała pękać i rozstępować się, uważano to za groźbę Bożą za winy ludzi. Spękaną ziemię pokazywano dzieciom i przestrzegano ich, że ziemia zaczyna się już rozstępować, aby pochłonąć ludzi za to, że obrażają Pana Boga. Mówiono, że święta ziemia nie chce już nosić ludzi. Dzieciom, które były pod wielkim wrażeniem tych słów, kazano się modlić o deszcz. Dzieci brały spalone słońcem zioła, zboża, kwiaty i modliły się słowami piosenki, takiej jak np. w Serbii:

O ROZSTĘPOWANIU SIĘ ZIEMI

Rozstąpiła się ziemia i pożarła Datana.
I pokryła, i przysnuła zebranie Abironowe.
Bodaj zdrajcę każdego zła śmierć nie minęła,
aby go ziemia żywo rozstępna połknęła.
„Otworzyła się ziemia i połknęła Datana, i nakryła zgraję Abirama”.

Ps 106,17

Gdy natomiast padały ulewne deszcze i groziły powodzie, wtedy ludzie mówili, że to niebo płacze i nie może się ukoić, ponieważ ludzie ciągle obrażają Pana Boga. Mówili też, że święci w niebie się wzruszyli widząc Pana Boga cierpiącego z powodu grzechów, które ludzie popełniają. Mówiono na przykład takie przysłowie: „Jak się św. Jan rozczuli, a Najświętsza Panna go nie utuli, to popłacze aż do św. Urszuli”. W czasie tych ulew dzieciom kazano modlić się o to, żeby znowu zaświeciło słońce i żeby pokazała się tęcza, a następnie opowiadali im o biblijnym potopie.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 234-235.

<https://siostry.net/opowiadania/op35>



36 O trzech siłaczach

Pewien nadzwyczajnie silny mężczyzna o nazwisku Gościnny postanowił pójść w świat. Gdy tak wędrował, trafił do kowala, który był tak mocny, że zamiast młotem, własną ręką kuł żelazo na kowadle. Gdy Gościnny zapytał go, dlaczego kuje ręką a nie młotem, ten odpowiedział:

– Wszystkie młoty mi się pokruszyły, a ręka od pracy mnie nie boli, chociażby najcięższe szyny kuł.

– Więc wykuj dla mnie żelazną laskę, największą jaką potrafisz – rzekł Gościnny.

A gdy kowal ją wykuił Gościnny zaczął nią wywijać i z łatwością podrzucać, podczas gdy kowal ledwie mógł ją podnieść.

W dalszą drogę ruszyli już razem, by szukać innych siłaczy. Wnet spotkali młynarza, który przed wiatrakiem podrzucał kamień młyński jak piłki. Wzięli go go więc do towarzystwa i poszli dalej. Idąc tak, zobaczyli w lesie pusty domek i postanowili się w nim zatrzymać na kilka dni. Młynarz z Gościnnym poszli upolować coś do jedzenia, a kowala zostawili i kazali mu ugotować rosół. Gdy kowal zajęty był gotowaniem zupy, do chaty wszedł słabowity staruszek i zapytał kowala, czy by mu ten nie dał trochę rosołu, bo brakuje mu już sił i chciałby się trochę wzmocnić. Kowal bez wahania dał mu talerz zupy, lecz gdy tylko starzec zaczął jeść, z rąk wypadła mu łyżka i upadła na ziemię. Kowal natychmiast schylił się żeby ją podnieść, a wtedy staruszek, który w rzeczywistości był diabłem, chwycił kowala za kark, pobił dotkliwie, a do rosołu wsypał popiół i ziemię.

Następnego dnia na łowy poszli kowal z Gościnnym na łowy poszli, a młynarz został gotować zupę. Staruszek znowu przyszedł i zrobił młynarzowi to samo co kowalowi. Trzeciego dnia w domu został Gościnny, a młynarz z kowalem poszli na polowanie. Gdy przyszedł starzec, Gościnny pobił go i wyrzucił z domu. A kiedy gonił go jeszcze po lesie, dostrzegł, że ten schował się w ziemi pod drzewem. Wyrwał je więc z korzeniami i wypędził diabła, który uciekł i ukrył się gdzieś pod mostem, ale Gościnny już go dalej nie ścigał. A kiedy młynarz i kowal wrócili z polowania, ruszyli w dalszą podróż. Wędrowali wśród wąwozów i nagle dostrzegli wejście do głębokiej jamy. Gościnny chciał się dowiedzieć, co takiego znajduje się na dnie tej jamy. Poleciał kowalowi i młynarzowi przynieść długi sznur, kosz

i dzwon, którym mógłby dać sygnał, gdy będzie chciał, żeby go wyciągnęli.

Gościnny wszedł do kosza, a młynarz i kowal zaczęli spuszczać go do jamy. Przewidując jednak, że towarzysze, zazdroszcząc mu jego silny, będą chcieli go zostawić na dnie jamy, wyszedł z kosza i po kamieniach zszedł na dół. Kowal z młynarzem zrobili zaś tak jak to przewidział i zrzucili kosz na dno samo dno jamy.

Gdy Gościnny był już na dole, zobaczył żelazne drzwi. Otworzył je i wszedł do wspaniałej sali, w której siedziała piękna dziewczyna. Zaczęła mówić mu, że jest zaklęta i strzeże ją smok. Nie skończyła jeszcze wypowiadać tych słów, a do sali wleciał smok i rzucił się na Gościnnego, lecz ten dobył miecza i ściął mu głowę. Z krwi smoka wyrosło natychmiast dziesięć nowych głów, a gdy znowu je ściął, wyrosło dwa razy tyle.

Zaklętej dziewczynie przyszedł do głowy pomysł, jak pomóc Gościnnemu. Każdą uciętą głowę zaczęła polewać wrzącą wodą, a wtedy głowy już nie odrastały. Tak Gościnnemu udało się pokonać smoka. Piękna panna, dziękując mu za wybawienie, poprosiła by wyprowadził ją z jaskini. Klucz od niej miał jednak diabeł, który siedział ukryty pod mostem. Gościnny poszedł go odszukać. Złapał diabła, wydarł mu klucz, otworzył drzwi dziewczynie i wyszedł z nią na jakąś równinę, na której stał szklany pałac. Piękna panna, już odczarowana, powiedziała:

– Nie potrzebuję tego pałacu.

I pałac natychmiast roztopił się i zamienił w jezioro.

[oryginalne zakończenie]

A Gościnny z dziewczyną poszli dalej. Trafili w końcu do karczmy, gdzie napotkali kowala z młynarzem. Zaczęli oni zalecać się do żony Gościnnego. A ten złapał ich i rozkazał rozszarpać żelaznymi bronami, a żonie ściąć głowę za jej niewierność.

[alternatywne zakończenie]

A Gościnny z dziewczyną wrócił do domu, ożenił się z nią i żyli szczęśliwie.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 254-256.

<https://siostry.net/opowiadania/op36>



Żyła na świecie pewna uboga dziewczynka, której ojciec i matka umarli. Nie miała już miejsca, gdzie mogłaby głowę schronić, ani kąta do spania, nie miała już nic na świecie, tylko zniszczone ubranie na sobie i ten kawałek chleba w ręczce, które dostała od miłosiernych ludzi. Była to bardzo dobra i pobożna dziewczynka, więc miała zaufanie do miłosiernego Boga, i chociaż została opuszczona przez cały świat, to szła raźnie drogą, gdzie ją oczy niosły. Aż naraz spotkała na drodze ubogiego, który pochwaliwszy Boga, wyciągnął rękę w jej kierunku i rzekł:

– Miłe dziecię, daj mi trochę chleba, bo umieram z głodu.

I ta sierotka dała mu cały chleb, który trzymała w ręczce, i polecając biedaka Bogu, ruszyła w dalszą drogę. Po jakimś czasie spotkała wynędzniałe i obdarte dziecko, które szło z gołą główką, a wiatr mu włoski rozwiewał. Zdjęła więc ze swojej głowy chustkę, podarowała ją ubogiemu dziecku i ruszyła w dalszą drogę. Ale trochę dalej spotkała jeszcze inne biedne dziecko, które nie miało na sobie sukienki i szło skurczone, całe zziębnięte i drżące z zimna. Miłosierna sierotka zdjęła więc z siebie ostatnią sukienkę i dała mu, a sama tylko w koszulce poszła dalej. Zaczęło się już ściemniać, kiedy doszła do jakiegoś lasu. Na jego skraju zobaczyła przydrożny krzyż z figurą ukrzyżowanego Chrystusa, a pod krzyżem półnagie dziecko, które ją o koszulkę prosiło. Wtedy miłosierna sierotka podniosła oczy na umęczonego Chrystusa i pomyślała sobie:

– Przecież i tak noc teraz ciemna i nikt mnie zobaczy. – Więc niewiele myśląc, zdjęła z siebie koszulkę i dała temu dziecku, a sama naga została w ciemnej nocy, na odludnej drodze, na skraju szumiącego boru.

– O, mój najśłodszy Jezu! To Ty nagi na krzyżu wiesz, a ja mam tej lichej koszulki żałować!

Wtem w ciemnym lesie stała się wielka jasność, a świecące gwiazdy z nieba spadły i zamieniły się w szczere złoto, które obsypało sierotkę dookoła. I nagle zobaczyła, że już nie jest naga, ale w jakiś cudowny sposób ubrana w bielutką sukienkę, utkaną z najcieńszego płótna. Dziewczynka

upadła na kolana, rączkami objęła krzyż i nie podniosła się, aż zaświeciło słońce, a w zielonym lesie rozśpiewały się ptaszki.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 194-195.

<https://siostry.net/opowiadania/op37>



38 O wiązce siana

Jest taka stara przypowieść jak to gdzieś na świętym miejscu budowali kościół. Każdy jak tylko mógł pomagał przy jego budowie. Ci, co byli bogatsi, dawali drzewo i cegłę, a ci biedniejsi zaprzęgami swoimi zwozili to, co było potrzebne albo sami pomagali, nie chcąc wynagrodzenia, a pracując tylko dla chwały Bożej. Pewnego dnia budowie przypatrywała się biedna wdowa i ciężko wzdychała, że w niczym nie może pomóc w tym świętym dziele. Ze spuszczoną głową szła powoli zmartwiona, aż zobaczyła leżącą garstkę siana, a w pobliżu parę zaprzężonych wołów do wozu, z którego zdejmowano kamienie i drzewo na budowę. Nagle tchnęło ją coś w sercu, podniosła siano i zaniósła je wołom, aby choć odrobinę przysłużyć się i posilić zwierzęta, które ciężko pracowały przy wznoszeniu świątyni.

Ludzie może śmialiby się z takiego gestu, ale Pan Bóg nie patrzy na ręce człowieka, czy on daje dużo, czy mało, ale zagląda w jego szczere serce. Ta wdowa z takim właśnie sercem i ku chwale Bożej przysłużyła się budowie kościoła tą garstką siana.

Słyszała ona o tym na kazaniach, jak Pan Jezus, siedząc naprzeciwko skarbnicy świątyni, patrzył jak ludzie wrzucają do niej pieniądze. Wielu bogaczy wkładało dużo, ale ujrzał też jedną ubogą wdowę, wrzucającą dwie drobne monety, które miały niewielką wartość. Wezwał wtedy swoich uczniów i rzekł do nich: „Zaprawdę, powiadam wam: Ta uboga wdowa wrzuciła najwięcej ze wszystkich, którzy kładli do skarbony. Wszyscy bowiem wrzucali z tego, co im zbywało; ona zaś ze swego niedostatku wrzuciła wszystko, co miała, całe swe utrzymanie” (Mk 12,38-44)

Zapewne słyszeliście już tę świętą Ewangelię na kazaniu i w wzruszyła ona wasze serca. A może nawet wśród was nie wszyscy są bogaci, a może i wy jesteście podobni do ubogiej wdowy, a zawsze swój o swoim najrzadziej słucha. Wy też pełnicie takie uczynki, dajecie składki na budujące się kościoły. Niektórzy z was należą może do Papieskich Dzieł Misyjnych i odkładają po groszu na misjonarzy, którzy nauczają Ewangelii na całym świecie i pomagają bliźnim za wasze pieniążki. A jeśli wasze składki wędrują na koniec świata, to czy zapomnielibyście o bliźnich, którzy żyją w naszej ojczyźnie i którzy tą samą mową razem z wami modlą się do Boga?

Pamiętacie i o nich, bo nieraz zbieracie składki w parafiach, na jakiś spalony kościół albo dla tych, którym cały dobytek spłonął, albo którym rzeka zalała domy. A popatrzcie także jak nas teraz zalewają nieprzyjaciele.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 221-223.

<https://siostry.net/opowiadania/op38>



39 0 zaklętych zwierzętach

Pewien bogaty człowiek miał trzy córki. Wybrał się on któregoś dnia na polowanie i napotkał niedźwiedzia, który powiedział mu, że jeśli nie odda mu najstarszej córki za żonę, to go pożre.

Mężczyzna pomyślał sobie:

– Mam przecież zamek warowny, rozkażę podnieść mosty i zamknąć bramy. Niedźwiedź mojej córki nie weźmie, a ja teraz obietnicą uratuję się od pożarcia.

Bogacz obiecał mu swą najstarszą córkę oddać za żonę. Ustalili, że niedźwiedź za siedem tygodni przyjdzie po nią.

Gdy upłynął wyznaczony czas, pod zabarykadowany zamek zajechał rycerz, zadął w trąbę, a wtedy mosty się opuściły i otworzyły się wszystkie wrota. Rycerz wjechał do zamku i zabrał najstarszą córkę.

Po pewnym czasie bogaty ojciec zabrał sokoła i wyruszył na polowanie na ptaki. Nagle zobaczył orła, który chciał go rozszarpać ostrymi szponami, jeśli mu nie odda swej średniej córki za żonę. Bogacz znów obiecał oddać córkę, a potem wrócił do zamku podniósł mosty i zamknął bramy. Za siedem tygodni przed zamkiem pojawił się rycerz i tym samym sposobem, co pierwszy, zabrał średnią córkę.

Jakiś czas później bogaty ojciec płynął po morzu, gdy nagle drogę przeciął mu delfin i zagroził, że pożre go, jeśli nie odda mu najmłodszej córki. Ojciec ponownie złożył obietnicę, a po siedmiu tygodniach pod zamek przybył rycerz z trąbą i tak jak poprzedni rycerze, zabrał najmłodszą córkę.

Po jakimś czasie temu bogatemu panu urodził się syn. Gdy dorósł, postanowił odnaleźć siostry. Wyruszył więc i dotarł najpierw do jaskini, w której przebywała najstarsza siostra z niedźwiedziem. Ten powiedział mu, że jest zaklętym młodzieńcem, ale jeśli nie odejdzie, to go pożre. Jednak gdyby chciał go uwolnić, to musi przynieść mu srebrne jabłko. Brat poszedł dalej i w orlim gnieździe odnalazł średnią siostrę. Orzeł powiedział mu to samo, co niedźwiedź. Następnie wyruszył nad morze, gdzie w głębinach zobaczył kryształowy pałac i najmłodszą siostrę, przebywającą w nim z delfinem. Zanurkował i popłynął do zamku, a tam usłyszał od delfina to samo, co od niedźwiedzia i orła. Wrócił więc na ląd i rozpoczął poszukiwania srebrnego jabłka. Wędrując, dostrzegł w lesie coś połyskującego. Podeszedł bliżej

i zobaczył diabła podrzucającego srebrne jabłko. Chciał je od niego kupić, ale diabeł za nic nie chciał go sprzedać. Młodzieniec pochwycił więc diabła, skropił go wodą święconą, odebrał jabłko i poszedł po siostry.

Odczarowane zwierzęta zamieniły się w pięknych mężów, którzy wrócili ze swoimi żonami i ich bratem do ojca i żyją do dzisiaj, jeśli nie umarli.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 256-257.

<https://siostry.net/opowiadania/op39>



40 Obmowa

Pewnego dnia matką z córka sprzątały pokój, w którym wcześniej mieszkała służąca. Była ona sierotą i odeszła od nich, by pracować w innym domu. Wymiatając spod jej łóżka córce wyrwały się słowa:

– Przebacź jej Panie Boże! Ale będąc tak biedną, mogła być bardziej schludna.

– Oj! Nie mów tak, moje dziecko – tłumaczyła jej mama – bo nie można nikogo za plecami obgadywać, a tym bardziej sieroty, która w niczym nie zawiniła, że jest uboga.

Dziewczynka trochę się zasmuciła, lecz nie uznała tego za grzech. Ale w nocy przez sen zaczęła się czegoś bać, krzyczeć i wołać matkę, aż ta przybiegła do niej:

– O! Moja mamusiu! Cóż za sen miałam. Śniło mi się, że szłam do jakiegoś miasta, a przy drodze leżał obdarty zmarły człowiek. Szli tamtędy także pijani ludzie, którzy pluli na niego i rzucali w niego kijami. Nie było nikogo, kto zabrałby go na cmentarz i godnie pochował. A mnie taki strach ogarnął, że zaczęłam uciekać i wtedy się obudziłam. Powiedz mi, mammo, co oznacza taki sen?

– Znaczy to dużo, moja córeczko. Pan Bóg zesłał ci ten sen jako zbawienną przestrożę. Pamiętasz jak wczoraj, gdy sprzątałyśmy pokój naszej sierotki i źle się o niej wyraziłaś? Twoje sumienie we śnie cię nauczyło, że kiedy złe słowo o kimś powiesz za jego plecami, a ten ktoś tego nie słyszy i nie może się bronić, to postępujesz tak, jak ci pijani ludzie, którzy pluli i rzucali kijami na zmarłego, a on już nie mógł się bronić. Zapamiętaj to sobie na zawsze, moje drogie dziecko, że tak jak za zmarłych odmawiamy wieczny odpoczynek, tak żywym, gdy są z daleka od nas, też powinniśmy dać święty spokój.

Skruszona tym doświadczeniem dziewczynka nauczyła się wielkiej pokory, a gdy tylko usłyszała o kimś złe słowo, zawsze powtarzała przestrożę: „Kto obmawia nieobecnego, to jakby bił zmarłego”.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 166-157.

<https://siostry.net/opowiadania/op40>



41 Obrazek na drzewie

Pewnego upalnego dnia dzieci zbierały jagody w dającym chód lesie. Nagle usłyszały, że ktoś pięknie gra na skrzypcach, których głos rozchodził się po całym lesie. Dzieci wybiegły na drogę i zawołały:

– O! Co to za ludzie idą ze skrzypcami, jakby szli na wesele, ale mają też torby jak podróżnicy i na pewno nie są stąd, bo noszą słomiane kapelusze i jakieś dziwne ubrania!

Dzieci przestraszyły się i schowały w lesie, lecz podróżnicy, którzy ich już zobaczyli, zaczęli wołać za nimi:

– Hej! Hej, dzieciaki, nie uciekajcie. Macie jagody? Dajcie nam ich skosztować. My tu mamy śliczne obrazki, bursztyny i korale. Damy je wam za parę dzbanuszków jagód.

Dzieci, ośmielone tą propozycją, podeszły do wędrowców, którzy zdążyli już usiąść na trawie przy drodze pod wielkim drzewem. Zaczęli rozkładać swoje kosze, wyjmować jasne wstążeczki, bursztynowe krzyżyki, malowane ręcznie obrazki i wymieniać się z dziećmi na jagody.

– Ale dlaczego tak się nam przypatrujecie, drogie dzieci – mówili podróżni. – Nie widzieliście jeszcze takich ludzi jak my? Otóż, idziemy z daleka, od strony morza i jesteśmy flisami. Na Wiśle tratwami spławiamy drzewo do Gdańska, które leży nad samym morzem, a teraz idziemy tędy pieszo do domu, który jest bardzo daleko, bo aż w Krakowie.

Potem wyjęli siekierę i na drzewie, pod którym odpoczywali, ścieli na takiej wysokości jak tylko mogli kawałek kory. Następnie przybili oprawiony za szkłem święty obrazek. Inni przytoczyli pod drzewo kilka dużych, gładkich, wygodnych do siedzenia kamieni i obłożyli je mchem. Zdumionym dzieciom oczy robiły się coraz większe i mówiły między sobą:

– Dziwni są ci ludzie. Niby podróżni, idą w dalekie strony i może już nigdy w życiu nie będą tędy przechodzić, a urządzają tak pięknie miejsce do odpoczynku, jakby to robili w swoim ogródku.

Flisy zauważyli zdziwienie rysujące się na twarzach dzieci. Wyjaśnili im:

– To taki nasz zwyczaj, drogie dzieci, że odpoczywamy pod krzyżem lub przy jakiejś kapliczce, a tam gdzie ich nie ma, to w miejscu naszego odpoczynku zostawiamy święty znak i wygodne miejsce do siedzenia dla tych, którzy będą później będą tędy przechodzić. Wy też tak róbcie w swoim

życiu, jak flisy w podróży. Niech i po was na świecie, tam gdzie wasza stopa stanie, zostaną znaki, że zawsze pamiętałyście o Bogu i bliźnim!

Po tych słowach zarzucili na plecy torby oraz kosze i z odkrytymi głowami uklękli przed obrazkiem, a za nimi wszystkie dzieci. Odmówili modlitwę, oddali dzieci Panu Bogu pod opiekę i ruszyli w drogę. W chłodnym lesie znów rozległ się głos skrzypiec, a zamyślane dzieci długo patrzyły za nimi na drogę i na obrazek na drzewie.

Przed zachodem słońca, gdy zbierali się już do domu, naśladując flisów, pod obrazkiem na drzewie zawiesiły otrzymany od nich bursztynowy krzyżyk, na kamieniu położyły listek, a na nim zostawiły garstkę jagód dla pierwszego podróżnego, który będzie tamtędy przechodził. Następnie, jak flisy, uklękły i odmówiły pacierz, a potem poszły w stronę domu i przez całą drogę rozmawiały o spotkanych podróżnych.

Potem w niejednym miejscu, tam gdzie pasły w lesie bydło albo zbierały jagody, ludzie widywali te dzieci, jak udając flisów, zawieszały na sękach drzew przy ścieżkach wystrugane krzyżyki, a potem klęcząc pacierz odmawiały i czasem także zostawiały garstkę jagód dna listku dla pierwszego podróżnego, który będzie tamtędy przechodził.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 170-172.

<https://siostry.net/opowiadania/op41>



42 Omszony kamień

Jeden chłopiec sierota, który tułał się po świecie, pewnego dnia położył się przy drodze, oparł głowę na kamieniu i zasnął. Po chwili zaczął przez sen płakać nad swoim losem, ponieważ chodził w podartych ubraniach i był bardzo zmęczony długą wędrówką. Przysnił mu się kamień, na którym miał opartą głowę i który zmięczony jego łzami szepnął mu do ucha:

– Chłopcze, zapewne jako sierota ciężysz ludziom, tak jak i my kamienie im zawadzamy. Popatrz, ile nas tutaj poniewiera się na polu i na drodze. Z daleka widać wszystkie te, które nie mają swojego miejsca, gdzie mogłyby spokojnie leżeć. Ci, którzy tędy przechodzą tylko je potrącają nogą, a każdy rolnik zawadza o nie pługiem podczas orki. Mnie akurat dobrzy ludzie położyli w ustronnym miejscu, tak że mchem zielonym porośłem i tobie, biedniejszemu ode mnie, mogłem posłużyć do odpoczynku. Otóż wstań chłopcze i weź się do pracy! Pozbieraj wszystkie kamienie z pola i ułóż je w jednym miejscu, a Bóg, który nawet najmniejszej pracy błogosławi i każdy dobry uczynek wynagradza, może wnet i tobie da opatrnościowe schronienie u ludzi.

Chłopiec się obudził, wstał i jeszcze na wpół śpiący, poszedł na pole i zaczął znosić kamień po kamieniu i układać je przy drodze na miękkiej trawie. Wtedy nadszedł gospodarz tego pola, na którym sierota pracował i zdziwił się, że obcy wyświadcza mu taką przysługę. Podeszedł do chłopca i zaczął go wypytывать, a gdy już wszystkiego się dowiedział, rzekł:

– Skoro jesteś taki uczynny, to może wyrośnie z ciebie coś dobrego. Wezmę cię do siebie i dopóki nie znajdziesz innej pracy, będziesz nadal uprzątał z tego pola kamienie.

Chłopiec później dziękował Panu Bogu, że Jego Opatrzność czuwała nad nim. Wdzięczny za miejsce u nowego opiekuna, nigdzie innego nie szukał. Kiedy zarobił już dość pieniędzy, kupił sobie ubranie specjalnie w kolorze zielonym, a ludzie od tej pory nazywali go omszałym kamyczkiem. Przydomek pochodził stąd, że kiedy szedł w niedzielę do kościoła, często pokazywał ludziom ułożone przez siebie kamienie przy drodze, które tak jak on w zielony mech się ubrały. Z zadowoleniem opowiadał ludziom, co mu się kiedyś podczas tułaczki przyśniło, i jak na dobre wyszło to stare przysłowie,

że tak jak kamień na swoim miejscu obrasta mchem, tak i człowiekowi dobrze, kiedy nie błąka się po świecie, ale przyjmuje i szanuje miejsce, które mu Pan Bóg wyznaczył.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 185-186.

<https://siostry.net/opowiadania/op42>



W głębokim borze stał domek leśniczego. Pewnego wieczoru, późną jesienią, palił się w izbie ogień na kominku, żona leśniczego gotowała wieczerzę, a leśniczy i dzieci przebierali mech przesuszony, który miał posłużyć do obtykania okien przed deszczem i zimnem. Na dworze wokół domku szumiały drzewa, wiatr gwizdał w szparach i łopotał zamkniętymi okiennicami.

– Co też to dzisiaj za wicher! – Odezwał się leśniczy, skubiąc mech i składając najbardziej zielone kawałki na kupkę. – Chwała Bogu, że jutro pozatykamy już wszystkie szpary w oknach, bo człowiek tu siedzi prawie jak na młynie.

– A najgorsze są te otwory w środku okiennic, nie wiadomo po co powyrzynane – rzekła leśniczowa – przez nie tylko deszcz w szyby zacina i wicher gwizdże jak zbójnicy w lesie.

– Tak naprawdę, to przez te otwory zbójnicy mogą kiedyś przejrzeć wszystkie kąty w izbie – odezwał się starszy chłopczyk, który na ziemi przy kupce mchu siedział i z lękiem spoglądał w stronę okna.

Wtem usłyszeli zza ściany szczekanie psa i odgłos tarcia łańcuchem o budę. Dzieci się przestraszyły i wszyscy umilkli, nasłuchując. Nagle ktoś zapukał do drzwi sieni. Leśniczy wziął z kąta kostur do ręki i poszedł zobaczyć.

– Kto tam? Kto tam? – zapytał.

Potem drzwi uchylił, a z szumem wiatru i deszczu, który otworzoną sienią nagle wypełnił, było słychać jakiś głos nieznajomy. Po krótkiej chwili wszedł leśniczy do izby, a za nim jakiś obcy człowiek, cały przemoczony, z kołnierzem podniesionym na uszy i bagażem na plecach.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – odezwał się podróżny stojąc na progu.

– Na wieki wieków – odpowiedzieli domownicy.

– Oto Pan Bóg zesłał nam gościa na nocleg – rzekł leśniczy do żony, która ciekawie przypatrując się podróżnemu, odpowiedziała:

– Gość w dom, Bóg w dom, to nasze stare przysłowie, a czym chata bogata, tym będziemy radzi. Ale skąd to was Pan Bóg do nas prowadzi w taką ciemną, wietrzną i deszczową noc? – dodała, ścierając fartuchem próchno

ze stołka i przystawiając go dla gościa do stołu, na którym stała już przygotowana właśnie wieczerza.

– Z dalekich stron – odpowiedział podróżny i odłożywszy bagaż, zbliżył się do kominka. Rozgrzewając nad ogniem zgrabiałe ręce, mówił dalej. – Jestem wędrownym kramarzem, noszę obrazki i różne świętości. Chciałem dziś jeszcze dostać się do miasteczka za lasem, kiedy mnie nagle noc zaskoczyła, a na dodatek deszcz się rozpadał. Tak się zrobiło ciemno, że wcale nie mogłem rozpoznać drogi między drzewami. Niewiele brakowało, a musiałbym gdzieś pod mokrym krzakiem do świtu przeczekać. Na szczęście zobaczyłem w borze małe światełko, które czasem migało i znowu gasło. Najpierw myślałem że to nocny ogień mnie zwodzi, ale podchodziłem coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie zobaczyłem przed sobą, że to światełko jest wyraźne jak płonące serce, które się w ciemności unosi i nie wiadomo gdzie mnie prowadzi. Nagle pies zaszczał i wówczas zorientowałem się, że tu naprawdę musi być jakiś dom i że to światełko błyszczało z waszej izby przez okiennice, w której wyrzynięty jest otwór w kształcie serca.

– Mój Boże! – przerwał mu zdziwiony leśniczy – Jak to czasem każda rzecz się przyda, nawet człowiek nie przewidzi do czego! – I sadzając podróżnego do zastawionego stołu, mówił dalej. – Przed małą chwilką, zanim usłyszeliśmy wasze pukanie, narzekaliśmy, że właśnie tymi wycięciami wiatr nam okropnie świszczy. Ale z tego wynika, że starsi ludzie nie na darmo je w okiennicach dawali. Najpewniej właśnie po to, żeby podczas długich zimowych wieczorów światło z izby było przez nie widać na dworze i żeby podróżnym w potrzebie pokazywało, gdzie mogą nocleg znaleźć.

– W rzeczy samej – dodał podróżny – bo i po co by najczęściej właśnie serca w okiennicach wyrzynano, jak nie dlatego, że mieli przysłowie, że staropolska jest cnota, nie zamknąć przed nikim wrota. Więc nawet wieczorem, kiedy okiennice pozamykali, zostawiali w nich otwarte serca, aby było widać, że tam na każdego gościa czekają z otwartym sercem. Pamiętam – mówił dalej podróżny – że w niektórych starych klasztorach i dworach, w sieni przed progiem, tam gdzie podłoga była już doszczętnie wydeptana, widywałem nieraz wprawiony w takie miejsce kawałek deski w kształcie serca. To z pewnością nie oznaczało niczego innego, jak tylko dumę z gościnności, która sięgała dalekiej przeszłości, czyli że tam już tylu gości próg przestępowało i że zawsze na nowo staropolska gościnność słała się sercem pod stopy wchodzących.

– To prawda – odezwał się zamyślony leśniczy. – Teraz dopiero przypomniałem sobie, że sam nieraz deptałem po takich znakach, gdy dawniej

jeszcze w dworach służyłem, ale to mi nigdy nawet przez myśl nie przeszło. Zapewne niejedne jeszcze znaki starych obyczajów nogami deptamy. Gdybyśmy je rozumieli jak należy, to na świecie byłoby pewnie lepiej!

– Oj! Zapamiętajcie to sobie dobrze i wy, moje dzieci – rzekła żona leśniczego. – Pamiętajcie, by przy każdym pacierzu pomodlić się za waszych dziadków, bo same słyszycie, jacy oni musieli być dobrzy i pobożni, bo to przecież po nich ta licha staroświecka okiennica została, która dziś tak pięknie w godzinie potrzeby zaświeciła otwartym i jakby według katechizmu wyciętym, staroświeckim sercem, które nam w niezwykle sposób pomogło przyjąć podróżnego w nasze progi.

Dzieci z uwagą słuchały słów matki, ale z jeszcze większą ciekawością obstały podróżnego, który w tym czasie zaczął wyciągać ze swego bagażu złociste obrazki i wręczać na pamiątkę każdemu z dzieci. Na obrazku wymalowane było przebite serce Pana Jezusa i niby wychodzący z niego płomień jako znak gorejącej miłości. Leśniczy tymczasem przygotował posłanie dla gościa. Wkrótce wszyscy udali się na spoczynek i zasnęli z łatwością, a najszybciej dzieci, które uradowane z obrazków, powkładały je sobie na noc pod poduszki. Gospodyni przegarnęła jeszcze węgle na kominku i zanim spać poszła, starym zwyczajem znak krzyża świętego uczyniła nad czołem śpiącego gościa, męża i każdego z dzieci, a potem upadłszy na kolana, poleciła ich aniołom stróżom i pomodliła się do Pana Boga o szczęśliwy sen dla nich.

Nazajutrz skoro świt, ledwo wróble zaczęły dokazywać pod dachem, podróżny zebrał się już z noclegu, pożegnał domowników i pobłogosławił za życzliwą gościnę. Leśniczy wyprowadził go jeszcze przed domek, pokazał wiodącą ku miasteczku drózkę, a sam ruszył w inną stronę, odchodząc ze strzelbą do lasu. Tak rozstał się ze swoim gościem i może już nigdy więcej na tym świecie się nie zobaczyli.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 223-225.

<https://siostry.net/opowiadania/op43>



44 Pan z Tyńca

Krąży między ludźmi opowieść o panu z Tyńca, jak pewnego razu nocował u niego rycerz, który był jego wrogiem. Pan z Tyńca, skuszony przez diabła, poszedł w nocy zamordować rycerza we śnie. Ale w progu komnaty, gdzie odpoczywał jego gość, stanął św. Stanisław i zawołał:

– Stój bezmyślny! Czy chcesz utracić zbawienie swojej duszy? Podałeś rycerzowi rękę na znak gościnności, a gdy on ci zaufał i zasnął z modlitwą na ustach, ty idziesz go w zdradziecki sposób zamordować! Za złe myśli będziesz pokutował przez siedem lat w puszczy, a potem na tym miejscu wybudujesz kościół Boży.

Przerażony Pan z Tyńca posłuchał świętego rozkazu. Pokutował przez siedem lat i zbudował tyniecki klasztor.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 228.

<https://siostry.net/opowiadania/op44>



45 Patron jeńców

Żył pewien bardzo bogaty i miłosierny człowiek, który, gdy tylko dowiedział się, że Tatarzy napadli na granice polskie i że wielu ludzi wzięli do niewoli, płakał nad ich tragicznym losem i gorąco się za nich modlił do Boga. Wtedy poczuł święte natchnienie, aby sprzedać cały swój majątek i za uzyskane pieniądze wykupić niewolników. Sprzedał więc wszystko co miał i z pieniędzmi wyruszył do nieznanych Tatarów. Gdy wydał tam już wszystkie pieniądze na uwolnienie rodaków, żał się mu zrobiło, że nie ma więcej skarbów, by mógł wykupić więcej braci. Dlatego postanowił sam siebie oddać w niewolę, byleby uwolnić choć jeszcze jednego rodaka. Tatarzy kazali mu pasać bydło. Tak pracował do końca życia. A gdy zmarł Bóg wysłał go wielkimi cudami, bo nieraz uwolnił on więźniów z niewoli tatarskiej. Wchodził do cel, drzwi zamknięte otwierał i wyprowadzał ich do granic kraju, a potem znikał. Nikt nie znał jego imienia, ale z wdzięczności za tylu wybawionych z niewoli, ludzie nazwali go patronem jeńców.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 790.

<https://siostry.net/opowiadania/op45>



46 Piotrowin

Święty Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski, kupił wieś Piotrowin od Piotra, który jakiś czas potem zmarł. Minęło kilka lat, gdy o tę właśnie wieś oskarżyli biskupa przed królem przyjaciele nieboszczyka. Stawił się więc biskup przed królem, gdy ten pod namiotem niedaleko tejże wsi nad Wisłą się zatrzymał. Pytano biskupa, jakim prawem uznaje się za właściciela wsi Piotrowin? Biskup Stanisław odpowiedział, że kupił ją i zapłacił za nią nieboszczykowi Piotrowi, który umarł cztery lata temu. Tamci zaś z oburzeniem zapytali:

– A czym tego dowiedziesz? Czy masz może spisana umowę?

Biskup oświadczył, że za trzy dni przedstawi niezbity dowód. Na ten czas biskup Stanisław nakazał, by wszyscy duchowni w diecezji podjęli post i rozpoczęli modlitwy w tej intencji, aby mu Pan Bóg świadka ożywił, który by rzecz sprawiedliwą zeznał przed sądem. Po upływie trzech dni poszedł biskup do kościoła we wsi Piotrowin, kazał odkopać grób Piotra, tknął go laską biskupią, rękę mu podał i rzekł:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, Piotrze wstań i wszystko, tak jak było, sprawiedliwie zeznaj przed królem. I wstał Piotr, a biskup go przed sąd królewski przyprowadził. Tam zeznał Piotr, iż sprzedał biskupowi wieś Piotrowin i wziął za nią całą zapłatę. Tam też skarcił Piotr przed królem swoich przyjaciół, że się upominają o to, do czego im nic, i że temu niewinnemu świętemu mężowi kłody pod nogi rzucają. Następnie wszedł z powrotem do grobu, oczy zamknął i ponownie został ziemią przysypany.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 778-779.

<https://siostry.net/opowiadania/op46>



– Dziś mamy Świętej Barbarki, trzeba z góry znieść sanki – mówił gospodarz do żony – bo chyba przysłowie się sprawdza, śnieg sypie jakby był zamówiony na dzisiaj i zawieja już taka się robi, że prawie świata nie widać.

– A i dziewczyna nasza z kościoła jeszcze nie wróciła – dodała matka, wyglądając przez okno na drogę. – Przydałoby się zaprząć konie dziś pierwszy raz do sanek i wyjechać jej naprzeciw.

Ale dziewczyna – córka tych gospodarzy, bo o niej właśnie mówili – była już przed drzwiami.

– Uh! – Krzyknęła cienkim głosem w sieni i wpadła do izby cała zaśnieżona i zadyszana. Pochwaliwszy Pana Boga w progu, zaczęła otrząsać śnieg z butów i peleryny, którą była cała otulona.

– Oj, jaki dziś śnieg sypie, prawie oczu nie można otworzyć, a zaspy takie, że mało brakowało, a zostawiłabym trzewiki w zawiejach.

– A dlaczego, moje dziecko, tak długo w kościele siedziałas? – Pyta matka. – Przecież już prawie południe. Pewnie tam dziś oprócz ciebie żywej duszy nie było.

– Owszem, było nas kilkanaście dziewcząt u spowiedzi i musiałyśmy wszystkie, jedna za drugą czekać, aby razem do Komunii Świętej przystąpić.

– Prawda! – Przypomniał sobie ojciec. – Przecież wiele dziewcząt ma na bierzmowaniu imię Barbary i pamiętają, żeby tego dnia zawsze być u spowiedzi.

– Prawda, prawda... Pamiętam, jak parę razy w swoim życiu byłam na odpustach, kiedy biskup bierzmował. Dziewczętom, jednej po drugiej, dawał imię Barbara.

– To bardzo pięknie – mówiła matka, łamiąc właśnie gałązki na ogień, by podgrzać zupę dla córki. – To bardzo pięknie, że dziewczęta często wybierają sobie przy bierzmowaniu imię Świętej Barbary, patronki szczęśliwej śmierci. Słyszymy nieraz na kazaniach i czytamy w książkach, że gdyby w życiu człowiek zawsze o śmierci pamiętał, to by mu było trudno zgrzeszyć...

■ E. Bojanowski, t. II, s. 181-182.

<https://siostry.net/opowiadania/op47>



48 Piorun

Pewien bogacz miał syna jedynaka, któremu jakaś kobieta wywróżyła, że zginie rażony piorunem. Ojciec długo zastanawiał się jak go od tego uchronić. W końcu kazał w wielkim borze zbudować dom cały z żelaza. Umieścił w nim syna i przez kilka lat przysyłał mu pożywienie, aż pewnego dnia nad ten las nadciągnęła wielka chmura, rozpętała się burza, a uderzeniom piorunów nie było końca. Zmartwiony i zatroskany o syna ojciec pobiegł do lasu, gdy dotarł do żelaznego domu, zobaczył że został on rozbity i potłuczony przez pioruny. Na środku rumowiska dostrzegł klęczące dziecko i pomyślał, że to zstąpił aniołek z nieba by modlić się za jego zabitego syna. Gdy się zbliżał, nagle rozpoznał, że to klęczy jego syn – cały i zdrowy – nietknięty przez pioruny. Wtedy uściskał go i padłszy na kolana, dziękował Panu Bogu, który przez to wydarzenie pokazał mu, że nie trzeba wierzyć we wróżby, i że Pan Bóg zawsze ochroni niewinne dziecko, chociażby ze wszystkich stron były pioruny.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 229.

<https://siostry.net/opowiadania/op48>



W pierwszej połowie XX wieku żył w Warszawie ubogi i bardzo miłosierny ksiądz Piotr Baudouin. Widział on bezdomne, tułające się oraz zmuszone do żebrania dzieci i bardzo im współczuł. Rozpaczwał, że nie może im w żaden sposób pomóc, bo sam był tylko biednym zakonnikiem ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy. Bardzo poruszony nieszczęściem tych dzieci, podjął w głębi duszy postanowienie, że musi zaradzić takiemu nieszczęściu i obmyślić przytułek dla opuszczonych dzieci. Żeby to zrealizować potrzebował bardzo dużo pieniędzy i wielkiej wytrwałości. Ksiądz ufał jednak Opatrzności Bożej, dlatego zaczął chodzić ze skarboną od domu do domu żebrząc dla biednych i bezdomnych sierot o pomoc. Pewnego razu przed jednym domem zobaczył piękne powozy, ubranych w złoto służących, w oknach domu paliły się jasne światła, a ze środka dobiegała wesoła muzyka. Ksiądz Piotr zapukał do drzwi i wszedł do środka. Przy stole siedzieli bogaci panowie, grali w karty, obstawiając przy tym dużo łość złota. Ksiądz podszedł do tego, przed którym leżało najwięcej złota i drżącym głosem pokornie poprosił go o jałmużnę dla biednych sierot. Pan rozgniewał się na zakonnika, z jakąś zawziętą złością wrzasną na niego, że przeszkadza mu w grze i z gniewem uderzył go w twarz. Ksiądz z pokorą przyjął te obelgi, a następnie powiedział:

– To dałeś dla mnie, ale co dasz dla biednych sierot?

Wtedy pozostali panowie zdumieni się i wstali z miejsc. A ten pan, który spoliczkował księdza Piotra, przepraszając rzucił mu się na szyję, a zaraz potem oddał mu srebrną tacę z całym swoim złotem. Widząc to inni panowie zrobili to samo. Z szacunkiem odprowadzili księdza Baudouina, który otrzymał od nich dużą jałmużnę dla sierot. Od tego czasu cieszył się on wielkim szacunkiem, a wszyscy przynosili mu liczne dary, dzięki którym zakonnik zbudował dom dla sierot nazwany Domem Dzieciątka Jezus. Codziennie rano dzieci, które mieszkają w tym domu, z wdzięcznością modlą się za jego duszę.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 785.

<https://siostry.net/opowiadania/op49>



50 Poziomka

Zazwyczaj na wiosnę, w dzień św. Antoniego, ludzie idą do lasu szukać pierwszych poziomek. Tego właśnie dnia z pewnej wsi wybrały się dwie siostry na jagody do boru, a do domu wróciły dopiero po zachodzie słońca.

– Pewnie znalazłyście dużo jagód, skoro tak późno wracacie? – zapytała ich matka.

– Jedną tylko, jedyną w całym lesie – odpowiedziały dziewczynki.

– A która z was ją znalazła?

– Ja znalazłam – odpowiedziała młodsza siostrzyczka, klaszcząc w dłonie z radości.

– No to podejdź do mnie – powiedziała do niej mama z uśmiechem. – Podejdź! Podejdź jagódko, pociągnę cię za ucho, bo taką pamiątkę robi się każdemu, kto pierwszy raz w roku jakiejś nowalijki skosztuje.

– Ha! – roześmiała się starsza siostra i odskakując na bok, powiedziała: – A ja też dziś pierwszy raz skosztowałam jagódek!

– Jak to ty też skosztowałaś? To jedna z was, moje dziewczęta, powiedziała nieprawdę – odezwała się matka i pogroziła im palcem. – Oj, oj, spójrzcie tylko na siebie, jak wam na zawstydzonych twarzach wyskakują jagódki czerwone.

– Nie, nie, mamusiu! – zawołały obie siostrzyczki. – My obie mówimy prawdę.

– Jak to obie prawdę mówicie? Przecież znalazłyście dzisiaj tylko jedną jagodę, a opowiadacie, że dziś obie skosztowałyście jagódek.

– Mamusiu kochana – rzekła starsza córka – ja powiem jak było. Chodziłyśmy długo po lesie, aż ona znalazła jedną jagódkę i bardzo się cieszyła, a ja zrobiłam się z tego powodu trochę markotna. Jak tylko to zauważyła, zaczęła mi mówić: „Wiesz co, siostrzyczko, nie smuć się, jeszcze dziś obie skosztujemy pierwszych jagódek”. A ja mówiłam: „Nie możemy dłużej ich szukać, bo słońce już zachodzi”. Na co ona odpowiedziała: „Pamiętasz, siostrzyczko, jak na Wielkanoc nasza mamusia kroїła święcone jajko i każdemu dała po odrobinie, i jeszcze zaprosiła na nie sąsiadów i ze wszystkimi się nim podzieliła. Wtedy nam wyjaśniała, że starzy ludzie zawsze mówili: »kto kogoś kocha, to i jajka bez niego nie zje albo chociaż by miał tylko jagodę to by się nią z nim podzielił«. Więc my też tak zrobimy z tą jagódką, którą znalazłam.

Jak powiedziała, tak też zaraz zrobiła. I w ten sposób obie dzisiaj pierwszy raz w tym roku skosztowałyśmy jagódek, chociaż tylko jedną znalazłyśmy”.

Mama, wysłuchawszy opowiadania dziewczynek, powiedziała:

– Bardzo was kocham moje dziewczynki! Za to powiem wam coś, a na pewno się ucieszycie. Poczekajcie tylko kilka tygodni, aż przyjdzie Święty Jan, będzie jagód dzban, a potem przyjdzie święto Nawiedzenia Najświętszej Panny, którą nazywa się Matką Bożą Jagodną. Wtedy dopiero będzie w lesie jagód bez liku. I wtedy, jeśli Pan Bóg pozwoli nam doczekać, wezmę was na odpust do świętego miejsca. Droga tam prowadzi przez różne lasy, w których będziecie mogli nazbierać jagód do woli.

– Pamiętajcie tylko, żebyście zawsze tak się kochały i nawet najmniejszą odrobiną się dzieliły, jak nauczyła was ta stara mądrość, że kto kogo kocha, to i jagodą chce się z nim podzielić.

– Módlcie się także, moje dziewczynki, w czym niech wam Pan Bóg pomoże za przyczyną św. Antoniego Padewskiego, dzisiejszego patrona od wszelkiej zguby, żeby te złote nauki, które my po naszych przodkach zachowaliśmy, nie zginęły wam nigdy, ale, owszem, żebyście w każdej potrzebie zawsze je w sercu waszym znalazły i nimi się kierowały, jak oto dzisiaj szczęśliwie nauczyły was tego owe stare słowa, że kto kogo kocha, to i jagódką chętnie się z nim podzieli.

– Przy tej małej jagódce znalazłyście słodką naukę. A tam dopiero możecie do woli nazbierać dojrzałych jagód i jeszcze lepszych owoców dla duszy, bo tę pielgrzymkę odprawicie aby uczcić pielgrzymkę Najświętszej Maryi Panny, która nawiedzając swoich świętych krewnych, dała wam taki piękny przykład miłości rodzinnej. Pamiętajcie tylko, abyście z tej pielgrzymki przyniosły wasze serduszka napełnione tym świętym owocem tak jak dzbanuszki jagódkami.

– A dzisiaj, kiedy znalazłyście pierwszą jagódkę, pomódlcie się, moje dziewczynki, za przyczyną św. Antoniego Padewskiego, dzisiejszego patrona od wszelkiej zguby, żeby wam nie zginęły te złote nauki, które my przechowaliśmy dla was po pradziadach, żebyście w każdej potrzebie je znalazły w waszym sercu i nimi się kierowały, tak jak dzisiaj przy skosztowaniu tej pierwszej poziomki, kierowałyście się słodką nauką, że kto kogo kocha, to i jagódką chętnie się z nim podzieli.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 225-228.

<https://siostry.net/opowiadania/op50>



51 Próchno

Pewnego razu bawiło się dziecko w piasku przed progiem, gdy do chaty wchodziła właśnie żebraczka. Dziecko dla zabawy rzuciło w jej kierunku garstkę piasku, ale przy tym samo sobie tym piaskiem oko zaproszyło i z płaczem uciekło do matki, pokazując palcem na oko.

– Pan Bóg cię upomniął, moje dziecko – mówiła żebraczka – żebyś na ubogich piaskiem nie rzucało.

A matka wzięła dziewczątko za rękę i kazała zaraz przeprosić ubogą staruszkę, a potem powiedziała:

– Wypłacz się dobrze za swój uczynek, to ci ze łzami próchno z oka wypłynie. I zapamiętaj sobie, że tak jak oka w głowie, tak samo trzeba strzec sumienia w duszy przed najmniejszym próchnem grzechu. Widzisz, że jak ci próchno wpadnie do oka, to ci się wszystko zaćmiewa i nie możesz pogodnie patrzeć na ludzi. A jak do sumienia wpadnie ci próchno grzechu, to też tak uciska jak piasek w oku i zaraz zmienia się dla ciebie cały świat. I dopiero gdy dusza zacznie płakać, wtedy ten żal i łzy wypłuczą to próchno grzechu. Dlatego tak samo jak oka w głowie, strzeż także sumienia w duszy, żeby ci na nie żaden pyłek nie upadł, bo tylko czyste sumienie może oglądać Pana Boga, a jak ono w człowieku oślepnie, to człowiek, tak jak niewidomy, o wszystko będzie się obijał, a światłości Bożej nie ujrzy.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 173-174.

<https://siostry.net/opowiadania/op51>



52 Stanisław Leszczyński

Na dworze pewnego dostojnego pana jeden z młodzieńców służących u niego na dworze bardzo zaniedbał swoje obowiązki. Surowy pan skazał go na miesiąc więzienia o chlebie i wodzie. Syn gospodarza, który miał wtedy dziesięć lat, bardzo przejął się srogą karą wyznaczoną dla młodzieńca. Ponieważ bardzo go lubił, rzucił się do nóg ojca i błagał go o przebaczenie dla przyjaciela, lecz ojciec odrzucił prośbę syna. Odtąd chłopiec robił się coraz smutniejszy, stracił apetyt i prawie przestał jeść. Jak tylko siadał do suto zastawionego ojcowskiego stołu, przed oczami stawał mu głodny więzień i apetyt całkiem mu znikał. Wreszcie przyszło mu do głowy, żeby dla młodzieńca chować część z tego, co mu dawano do jedzenia. Zbierał więc starannie ciasta, wędliny, owoce, a wieczorem, kiedy nikt go już nie mógł zobaczyć, z narażeniem życia wdrapywał się pod okno wysokiej wieży i rzucał więźniowi jedzenie. Do końca miesiąca codziennie przynosił młodzieńcowi smakołyki. Gdy nadszedł koniec kary, uwolniony młodzieniec powiedział panu o dobroci jego dziecka oraz wyznał, że był nią bardziej poruszony niż karą, którą otrzymał. Dlatego postanowił przez całe życie iść drogą szlachetności, aby okazać się godnym życzliwości jego syna. Tym chłopcem, który już w tak młodym wieku wyróżniał się miłością bliźniego, był Stanisław Leszczyński.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 791.

<https://siostry.net/opowiadania/op52>



53 Jednakowe sukienki

Żyły kiedyś dwie biedne dziewczynki – sieroty. Jedna z nich tułała się od ludzi do ludzi, druga trafiła pod opiekę zamożnej pani, u której miała dużo lepsze warunki niż siostra. Któregoś dnia ta pani powiedziała do dziewczynki:

– Drogie dziecko, ponieważ jesteś tak pobożna, posłuszna, pilna i dobra, to w nagrodę kupię ci nową niebieską sukienkę, taką jaką lubisz najbardziej. Dziewczynka czule podziękowała swej opiekunce i dodała:

– Mam już dużo sukienek, ale moja siostra, która nie mieszka w tak dobrym domu jak ja, ma ich bardzo mało, a większość z nich jest już stara i znoszona. Czy mogłabym tę nową sukienkę podarować siostrze? Ona mnie tak bardzo kocha, a jak byłam chora szybko przybiegła do mnie i pilnowała mnie cały dzień i noc.

– Kochane ty dziecko! – odpowiedziała pani – Idź po swoją siostrę i przyprowadź ją do mnie, kupię wam obojgu jednakowe sukienki, dlatego że darzycie się jednakową miłością.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 786.

<https://siostry.net/opowiadania/op53>



54 Słońce przed domem

Było to pewnego wiosennego ranka, gdy po długiej nie pogodzie wschodzące słońce zaświeciło we wsi przed jednym z domów, który był zwrócony frontem na wschód. Przed domem natychmiast pojawiły się dzieci i jak pszczołki zaczęły bawić się wesoło w słońcu.

Naprzeciwno tego domu stał drugi, przed którym był jeszcze mroczny cień i rosa stała na trawie. Na jego progu stały dzieci i płakały, że przed ich drzwiami nie świeci słońce. Ich matka, patrząc na to, śmiała się i mówiła:

– To podobno dobrze wróży, kiedy dzieci pierwszy raz na wiosnę wesoło bawią się. Ale lepiej żebyście płakały za waszym ojcem, który na wojnę poszedł i dotąd go nie wrócił, niż nad tym, że przed naszym domem jest cień. Słońce będzie świecić i naszą chatą, a Jeden Bóg wie, czy waszego ojca jeszcze zobaczymy.

Niedługo potem we wsi powstało zamieszanie. To jechali żołnierze z wojny, połyskiwali szablami i brzękali szabelkami. Wszyscy: matki, siostry, dzieci, wybiegły na przed domy, każdy pyta o swego męża, syna, brata, ale wśród żołnierzy były tylko jeden z tej wsi. Zsiadł on z konia i właśnie przed tym domem, przed którym słońce tak świeciło i dzieci biegały radośnie. Zaczął ich ścisnąć i do nich przytulać i witać ze wszystkimi znajomymi. A pozostali żołnierze pojechali dalej, i jak kurz opadł na drogę, tak smutek znowu przygniół serca wielu matek, sióstr i dzieci.

Także ta matka, która jeszcze niedawno śmiała się ze swoich dzieci, płaczących, że cień zalega przed ich domem, teraz sama usiadła w tym cieniu i zaczęła rzewnie płakać, że to nie do niej zawitało szczęście i że nie jej mąż powrócił z wojny. Dzieci zaczęły ją pocieszać, mówiąc:

– Nie płacz, mamo, sama przecież mówiłaś, że przed naszym domem też zaświeci słońce.

I tak się stało, po południu słońce zatoczyło łuk i zaświeciło przed ich domem. Dzieci zaczęły się bawić wesoło i grać w wyczekiwanych promieniach słonecznych. Zaraz też w wiosce ponownie powstało ożywienie, ponieważ kolejni żołnierze wrócili z wojny. Wszyscy znowu wybiegli przed domy. Matki, żony, siostry i dzieci zobaczyły żołnierza zsiadającego z konia właśnie przed tym domem, przed którym przed chwilą zaświeciło słońce. Mężczyzna zaczął witać się ze wszystkimi, przytulać dzieci oraz zapłakaną

żonę. Wtedy uszczęśliwiona matka, wskazując dzieciom słońce błyszczące w domu i ojca, który wrócił z wojny, powiedziała:

– Dobrze się pocieszaliśmy, moje dzieci, że przed naszym domem też słońce zaświeci. Bóg zasmuci i Bóg pocieszy. Tak jest z Opatrznością Bożą. Tak jak po ziemi przechodzą światło i cienie, tak i ludzi dotykają smutki i radości. Pamiętajcie więc, gdyby was, broń Boże, spotkało jakieś nieszczęście, wtedy na pocieszenie przypomnijcie sobie przysłowie, że i przed naszym domem świecić będzie słońce.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 175-177.

<https://siostry.net/opowiadania/op54>



55 Stopki

Niedaleko miasta Suchy znajduje się góra, którą nazywają Jałowiec. W miasteczku był dwór, w którym mieszkali państwo Wielkopolscy. Mieli oni śliczną córeczkę Martynkę. Jej niania mieszkała zaś samotnie w chacie na odludziu na tej właśnie górze. Pewnego razu niania śmiertelnie zachorowała. Dziewczynka dowiedziawszy się o tym, nic nikomu we dworze nie powiedziała, tylko wyszła ukradkiem z domu, zabierając ze sobą koszyczek pełen rozmaitego jedzenia. Biegła przez zarośla i bezdroża, wspinała się na skalistą górę, aby odwiedzić, pocieszyć i nakarmić chorą nianię. Ona zaś, dziękując dziewczynce za troskę i opiekę, prosiła Boga, żeby upamiętnił ten miłosierny czyn. I po dziś dzień na tej górze widać w skale odcisnięte ślady małych stópek tej dziewczynki, która odwiedzała swoją chorą nianię w jej ubogiej chatce.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 791-792.

<https://siostry.net/opowiadania/op55>



56 Święty Aleksy

Święty Aleksy urodził się na Rusi w 1330 roku. Jego rodzice Teodora i Maria byli chrześcijanami i katolikami. Kiedy Aleksy podrósł, zaczął nauki i robił w niej znaczne postępy. Dla rozrywki chodził do lasu, gdzie zastawiał siatki na ptaki. Pewnego razu, gdy skończył już dwanaście lat, postawił pułapki i postanowił się zdrzemnąć. Nagle usłyszał głos z nieba mówiący do niego:

– Aleksy! Dlaczego na darmo pracujesz? Oto uczynię cię „myśliwym” ludzi.

Aleksy natychmiast się obudził, rozejrzał się, lecz nie zobaczył nikogo. Bardzo się zdziwił, a potem często rozmyślał o tym głosie.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 239.

<https://siostry.net/opowiadania/op56>



57 Święty Alfons Maria Liguori

Święty Alfons w domu swoich pobożnych rodziców od najmłodszych lat uczył się bojaźni Bożej i unikania najmniejszego grzechu. Był bardzo pilny w nauce, miły, uprzejmy i grzeczny wobec innych ludzi. Jego zachowanie świadczyło wyraźnie, że miał czyste i bardzo delikatne sumienie, które lękało się nawet najmniejszych przewinień. W wieku dziesięciu lat, gdy bawił się z rówieśnikami w swoim ogrodzie, zaczęli grać w piłkę, a gra toczyła się o jabłka. Zupełnie przypadkiem Alfons wygrał. Jeden z jego kolegów, zazdroszcząc mu wygranej, z gniewem i obelgami oddał mu swoje owoce, ale zarzucił mu, że wygrał nieuczciwie, bo licząc rzuty skłamał podając, ile udało mu się trafić. Słyszając to niewinny Alfons zarumienił się na myśl o grzechu tego chłopca. Tak się zmartwił niesłusznym posądzeniem, że od razu oddał wygrane jabłka i powiedział:

– Czy wy myślicie, że dla kilku jabłek można obrażać majestat Boży?

Potem odwrócił się i pobiegł w najdalszy zakątek ogrodu. Zdziwieni koledzy stali jakiś czas zmieszani, ale później znowu wrócili do gry, w którą grali do późnego wieczora. W końcu przyszło im na myśl, żeby poszukać Alfonsa. Znaleźli go klęczącego przed obrazkiem Najświętszej Panny, który zawsze nosił przy sobie i który teraz kolcem ciernia był przypięty do drzewa. Koledzy widząc tę scenę bardzo się wzruszyli, a chłopiec, który go oskarżył o oszukiwanie w grze, patrząc na modlącego się Alfonsa, zawołał:

– Co ja zrobiłem?

I pobiegł szybko do niego, aby go przeprosić. Alfons zaś podniósł się z kolan, wziął swój obrazek i dołączył do kolegów. Ci zaś, bardzo zawstydzeni, z pokorą w sercu i wyciszeni, udali się do domu.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 800-801.

<https://siostry.net/opowiadania/op57>



58 Święty Atanazy

Gdy św. Atanazy był jeszcze dzieckiem i bawił się z rówieśnikami nad morzem, chciał naśladować, jak to mają w zwyczaju dzieci, to, co widział w kościele. Dzieci wybrały go na biskupa, a on ich ustanowił kapłanami i diakonami. Oni z kolei przyprowadzali do Atanazego inne pogańskie, jeszcze niechrzczone dzieci, a on je chrzczył w morzu. Temu wszystkiemu przypatrywał się biskup aleksandryjski Aleksander. Obserwował on dzieci z daleka, z miejsca, z którego nie mogły go one zobaczyć.

Biskup cieszył się, że ta zabawa dzieci nie obraża tajemnic Kościoła. Gdy spostrzegł, że Atanazy polewa wodą pogańskie dzieci i coś nad nimi mówi, kazał je przyprowadzić do siebie. Długo je wypytywał, a gdy się od nich dowiedział, że Atanazy lejąc wodę, mówił formułę chrzcielną: „ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”, chrzcic ich ponownie nie śmiał, ale je tylko olejem świętym namaścił, dodając przy tym inne tajemnice i obrządkie kościelne. Następnie, widząc w Atanazym wyjątkowe dary Boże, zalecił jego rodzicom, aby wychowywali go pilnie jak młody szczeniak, z nadzieją na wielkie owoce, a kiedy już dorośnie, aby go jemu powierzyli. Rodzice posłuchali rad biskupa Aleksandra. Gdy chłopiec dorósł i się wykształcił, zaprowadzili go do biskupa i oddali pod jego opiekę. Biskup wkrótce wyświęcił go na księdza. Później Atanazy został nie tylko biskupem aleksandryjskim, ale ze względu na swoje zasługi i cnoty, ogłoszono go świętym.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 788.

<https://siostry.net/opowiadania/op58>



59 Święty Jacek w Bytomiu

Przy kościele św. Jacka w Bytomiu jest most, a pod nim płynie niewielka rzeka, w której leżą drobne kamyczki z dziurkami w środku. Ludzie mówią, że gdy św. Jacek przechodził tędy w drodze do Krakowa, rozsypały mu się paciorki różańca i do tej pory znajduje się je wśród kamyczków.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 243.

<https://siostry.net/opowiadania/op59>



60 Święty Sadok

W roku 1221 na polecenie św. Dominika ojciec Paweł Węgrzyn i ojciec Sadok Polak udali się na Węgry, aby tam nawracać licznych jeszcze ludzi, którzy odwrócili się od wiary. Ci ubodzy pielgrzymi wędrowali po Węgrzech, żebrząc i prosząc o chleb, ponieważ byli bardzo ubodzy. Pewnego dnia zakonnicy przyszli do jakiejś wsi właśnie wtedy, kiedy w kościele było nabożeństwo. Odprawili więc Mszę Świętą, po której wszyscy ludzie z wyszli ze świątyni i poszli do domu, zakrystian zamknął drzwi kościoła, a ubodzy bracia zostali w przedsionku i nie znalazł się nikt, kto by ich do siebie zaprosił. Zobaczył to pewien biedny rybak, który ich bardzo żałował, ale nie śmiał ich do swojej chaty zapraszać, bo nie wiedział, czym mógłby ich nakarmić. Powiedział o tym swojej żonie, która rzekła:

– Mamy tylko trochę kaszy i nieco rybek.

Mąż zaś pod wpływem Bożego natchnienia, kazał jej sprawdzić, czy w worku nie ma jakiegoś grosza. Gdy kobieta go wytrząsnęła, wypadły z niego dwie monety, których, była o tym przekonana, tam wcześniej nie było. Rybak niezmiernie się z tego ucieszył i nakazał żonie:

– Idź i za jedną monetę kup chleb, a za drugą wino.

Sam zaś pośpieszył do kościoła, gdzie znalazł ojca Pawła i ojca Sado-ka. Zaprosił ich do siebie i z radością wprowadził do swojej chaty. Wraz z żoną ugościli ich rybami i kaszą. Oni zaś dziękując Bogu, prosili Go, aby wynagrodził dobroć tych ludziom. Bóg szybko wysłuchał ich prośby, ponieważ kobieta, gdy wzięła worek, znalazła w nim dwie monety, takie jak przedtem. Od tej chwili na cokolwiek potrzebne jej były pieniądze, zawsze w worku znajdowała te dwie monety. Z czasem rybak i jego żona doszli do znacznego majątku, tak że zakupili bydło i dom. Wtedy worek przestał już sypać pieniądze. Za to Pan Bóg pocieszył ich czym innym, tym, czego najbardziej pragnęli – obdarzył ich upragnionym dzieckiem.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 789-790.

<https://siostry.net/opowiadania/op60>



61 Tatarskie ziele

Był pewien bezbożny gospodarz, a jego żona też była nie lepsza. Mieli oni córkę jedynaczkę, młodą dziewczynę, której ani pacierza nie nauczyli, ani do kościoła nie wysyłali, zresztą sami też o to nie dbali. Któregoś roku nadszedł świąteczny dzień Bożego Ciała. Był wtedy taki zwyczaj, że przyozdabiano domy, a po izbach i podwórku rozrzucano tatarskie ziele. Matka dopiero podczas samego nabożeństwa wysłała dziewczynkę nad jezioro, żeby narwała tego tatarskiego ziela, a sama kończyła jeszcze szorować naczynia i myć okna. Z kolei gospodarz zamiast pójść do kościoła, pojechał po drzewo do lasu.

Jak tylko dziewczynka zaczęła nad jeziorem zrywać zioła i śpiewać piosenki, których się w karczmie na pamięć nauczyła, rozległ się dźwięk dzwonów kościoła, który stał po drugiej stronie jeziora. Dziewczyna zobaczyła całą procesję z czerwonymi chorągwiami i usłyszała nabożne pieśni. To tak skruszyło serce dziewczyny, że mimowolnie przyklęknęła, a potem z natchnienia Bożego zerwała się i tak jak stała, w przemoczonym ubraniu, pobiegła wokoło jeziora do kościoła.

Tymczasem w samo południe nadciągnęła ciemna chmura z ciężkimi grzmotami i wichrem. A w lesie, przy samej drodze, gdzie właśnie bezbożny gospodarz wioził drzewo, od pioruna runął spróchniały dąb i zabił jego oba woły. W tym samym czasie we wsi piorun uderzył także w jego niepoświęcony dom. Wpadł przez otwarte okna, które gospodyni właśnie myła i spalił doszczętnie całe ich gospodarstwo.

Ci małżonkowie, przed tym samym kościołem, do którego dawniej nie chodzili, siadywali na starość jako żebracy i wyciągali ręce po jałmużnę. Natomiast ich córka od tamtej pory była bardzo pobożną dziewczyną. Często widywano ją w kościele, gdzie na klęczkach modliła się, a w całej parafii uważano ją za wzór pobożności i świątobliwości.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 767.

<https://siostry.net/opowiadania/op61>



62 Wianek

Pół mili od Lublińca, na drodze do Olesna, leży wieś Lubecko, gdzie był kiedyś zamek książąt opolskich. Na tym miejscu po latach pewien chłopiec znalazł w błocie obrazek, niewiele większy od dłoni. Przedstawiał on wizerunek Matki Bożej bardzo podobny do obrazu z Panną Marią Częstochowską. Chłopiec schował obrazek do skrzyni, a w nocy zaczęły wydobywać się z niej jasne promienie. Uważano to za znak, dlatego na tym miejscu wybudowano kościół. Po latach w tym kościele dziewczyna brała ślub. Miała na głowie wianek z upleciony z ruty, ale ludzie mówili, że nie jest godna go nosić. Panna młoda wzięła więc swój wianuszek i rzuciła go na mur kościoła, mówiąc:

– Jeżeli jestem niegodna, niech ten wieniec tu nie zwiędnie.

I wieniec wypuścił korzonki, a potem przez długie lata na nowo rozkwitał na murze.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 242.

<https://siostry.net/opowiadania/op62>



63 Wilcza jama

Pewien chłopiec pasał nocą konie na pastwisku. Kiedy nadszedł już okres zimny i mglisty, naniósł sobie chrustu z pobliskiego lasu, rozniecił ogień pod kamieniem, grzał się w jego blasku i piekł kartofle, które podbierał w cudzych ogródkach, ale zawsze te kradzieże uchodziły mu bezkarnie. Jednej nocy, gdy najadł się już tych kradzionych kartofli, położył się przy ognisku i zaczął już przysypiać, gdy nagle usłyszał gdzieś w pobliżu gęganie. Pomyślał, że jakieś dzieci pastuszki zgubiły gęś i przyszła mu chętka aby ją złapać, upiec na drewnianym rożnie i zjeść. Pastuszek zaczął skradać się w kierunku gęsi, ona zaś jak gęgała tak gęgała. Podchodził coraz bliżej i coraz bliżej, aż zobaczył jej biały kształt. Była tak blisko, że mógł jednym skokiem ją złapać. Odczekał chwilę i rzucił się na nią, ale jej nie złapał, tylko w padł w głęboką jamę, która była zakryta cierniami i przysypana liśćmi, a gęś stała jako przynęta na wysokim słupie wbitym na środku dołu.

Przestraszony chłopiec nie mógł się w żaden sposób wydostać z jamy. Przeraził się jeszcze bardziej, gdy uświadomił sobie, że jest to pułapka na wilki, do której gęś może łatwo zwabić drapieżniki z lasu. Po chwili usłyszał, że coś się skrada i wtedy przez gałęzie wpadło do dołu ogromne wilczyisko. Pastuszek z duszą na ramieniu cały zdrętwiał, ale i wilk przestraszył się chłopca i tylko stał zziębnięty, z łbem spuszczonego w dół. Chłopiec modlił się w duchu i w każdej chwili spodziewał się śmierci. Kiedy wzeszło słońce, usłyszał tętent kopyt i wrzawę ludzi zbliżających się do jamy. Gdy zobaczyli oni rozrzucone gałęzie, byli pewni, że w dole znajdują wilka. Kiedy z widłami i drągami zaczęli zaglądać do jamy i odsuwać gałęzie, zobaczyli wilka i pastuszkę, jak siedzą obok siebie ze spuszczonej oczami, przełknięci i drżący. Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem i najpierw wyciągnęli złodzieja pastuszkę, który od razu ukłęknał, złożył ręce i z płaczem przysięgał, że dopóki żyje nawet nie pomyśli o tym, żeby ukraść gęś. Mężczyźni darowali mu winę, bo i tak najadł się wystarczająco dużo strachu, ale groźnie go upomnieli i odesłali na pastwisko do koni, a złodzieja wilka w dole zabili widłami.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 776-777.

<https://siostry.net/opowiadania/op63>



64 Woda na kamieniu

Pewnego dnia, gdy tylko przestał padać ciepły deszcz i gdy tylko rozświeciło się słońce, a drogi obeschły, szedł sobie ubogi staruszek i ponad zbożami błogosławił żyzny deszczyk, który Bóg z nieba spuścił. A gdy tak szedł, zobaczył pastuszków bawiących się przy drodze wokół dużego kamienia. Chłopcy rozchlapywali wodę, która po deszczu jeszcze na kamieniu stała. Staruszek, pochwaliwszy Pana Boga, zapytał dzieci:

– Po co wy tę wodę z kamienia zlewacie?

– Bo – roześmiały się na to dzieci – na kamieniu nic nie urośnie, a ziemia z radością ją wypije!

– To prawda, moje dzieci, ale z tej wody stojącej na kamieniu wypływa dla nas ładna nauka, że oto dobrodziejstwa Boże spadają codziennie również na nas, tak jak ten deszcz na pola. To wszystko w nas wsiąka, tak jak wsiąka deszcz w suchą ziemię, ale my o tych łaskach szybko zapominamy. Jednak każde dobrodziejstwo, które od Pana Boga odebraliśmy, choć już minęło, powinniśmy mieć długo przed oczami, tak jak ten dzisiejszy deszcz – chociaż już przecież minął i wsiąknął w ziemię, to jednak woda deszczowa stoi jeszcze na kamieniu i przypomina nam niedawne dobrodziejstwo Boże. Zboże tu urośnie bez tych kilku kropelek wody, które na kamieniu zostały jako wspomnienie. I wy, moje dzieci, w całym waszym życiu, nawet przy ciężkiej pracy na chleb, nie żałujcie takich świętych chwil i poświęćcie je myślom o dobrym Bogu.

I błogosławiąc dzieci, ruszył staruszek w dalszą drogę. A po zachodzie słońca, kiedy pastuszkowie wracali z pola do domu, rozległ się w wiosce nowy krakowiaczek:

*Po deszczu została woda na kamieniu,
dobrodziejstwa Boże miejmy we wspomnieniu.*

■ E. Bojanowski, t. II, s. 164-165 i 235-236.

<https://siostry.net/opowiadania/op64>



65 Wykupienie ojca

W czasach gdy toczyły się wojny z Turkami, wszyscy mężczyźni, zarówno młodzi, jak i starzy, wstępowali do wojska, żeby tylko nieprzyjaciół pozbyć się z kraju. Był też pewien mężczyzna, który ciężko pracował aby zarobić na życie i chleb dla swojej żony i dziecka. Jednak w tak wielkiej potrzebie kraju, porzucił wszystko i poszedł na wojnę. Jego żona musiała więc w pocie czoła pracować by wyżywić siebie i syna, aż w końcu z nadmiernego przemęczenia ciężką pracą, umarła, jej biedny syn został sam na łasce Bożej. Miał wtedy zaledwie kilkanaście lat i musiał pójść na służbę do obcych ludzi, u których pasał gęsi.

W końcu wojska zaczęły wracać z wojny, a chłopiec pytał spotykanych żołnierzy, czy nie wiedzą, co się stało z jego ojcem. Ale przeszły jedno, drugie i trzecie oddziały, jednak nikt nie potrafił udzielić mu odpowiedzi. A kiedy przechodziły już ostatnie, spotkał żołnierzy, którzy widzieli jego ojca rannego, całego we krwi, związanego i prowadzonego przez Turków do niewoli. Chłopiec zalał się łzami i głośno płacząc uklęknął na ziemi i przysiągł przed Bogiem, że chociażby miał całe życie ciężko pracować, od ust będzie sobie odejmował, a nazbiera pieniędzy na wykupienie ojca z niewoli. Potem wyruszył i będzie go szukał go po całej Turcji, aż go znajdzie.

Chłopiec dotrzymywał obietnicy. Im był starszy, tym sumienniejsze pracował. Żywił się chlebem i wodą, nosił koszulę z wytartymi łokciami, chodził boso, chociaż było zimno. Mimo że inni ludzie wytykali go palcami, wcale się tym nie zrażał, tylko zbierał grosz do grosza na wykupienie swojego kochanego ojca. Pracował bardzo długo i bardzo cierpliwie, chociaż niepokoił się, że w tym czasie ojciec mógł umrzeć i sam już nie wiedział, czy go odnajdzie wśród niechrześcijan, ani czy jego samego jacyś rozbójnicy nie zabiją albo nie ograbią z ciężko zebranych pieniędzy. Tak właśnie mówili mu ludzie i odradzali poszukiwania, przekonując żeby nigdzie się nie wybierał. Jednak chłopiec z miłości do ojca był gotowy na wszystko, dlatego tych tłumaczeń nawet nie chciał słuchać.

Gdy uzbierał już spory worek pieniędzy, przebrał się za pielgrzyma, kupił sobie wielki kapelusz, wystrugał z drewna sandały, które rzemykami obwiązał, przywdział stary habit, który dostał od zakonników, a przy w pasie zawiesił różaniec. W kościele udzielono mu błogosławieństwa na drogę

i z kijem w ręce wyruszył w pielgrzymkę do Ziemi Świętej, do grobu Pana Jezusa.

W drodze wszędzie wypytywał o swego ojca. Często tam, gdzie nocował albo odpoczywał, gdy ludzie zobaczyli, że jest młody i silny, wypominali mu, że lepiej by zrobił, gdyby pracował uczciwie, a nie włóczył się po świecie. On znosił te wymówki cierpliwie i szedł coraz dalej i dalej. Spotykał także ludzi miłosiernych, którzy go wspierali i obdarzali go na dalszą drogę.

Zdarł już jedne i drugie sandały, a dopiero dotarł do krajów tureckich, gdzie jeszcze większe spotykały go przykrości. Wszędzie go wypychano, nigdzie wśród tego niechrześcijańskiego ludu nie mógł znaleźć schronienia ani wsparcia, a dzieci tureckie, gdzie się tylko pokazał, rzucały go kamieniami. Musiał więc żywić się jedynie korzonkami leśnymi. Błąkał się długo i wszędzie wypytywał o ojca, ale bez powodzenia. W końcu doszedł do Ziemi Świętej i przy grobie Pana Jezusa długo i pokornie się modlił, prosząc Pana Boga, żeby mu dopomógł odnaleźć ojca. Następnie opuścił to święte miejsce i ruszył w drogę powrotną do swojego kraju. Przechodząc przez jedno z tureckich miasteczek zobaczył nagle pomiędzy niewolnikami, którzy pracowali skuci łańcuchami jak bydło i byli* bici kijami, wynędzniałego starca z długą brodą, w którym rozpoznał swojego ojca. Padł mu natychmiast do nóg, ścisnął go i całował. Ojciec z radości też upadł razem z nim na ziemię. Ochłonawszy chłopiec pobiegł do tureckiego pana, u którego* jego ojciec był niewolnikiem i ofiarował mu wszystkie swoje pieniądze za uwolnienie jego ojca. Jednak Turek zażądał trzy razy tyle, co* przyniósł syn. Załamany młodzieniec odpowiedział na to:

– Weź mnie na miejsce mego ojca. Patrz! Ja jestem silny, młody i zdrowy, a on stary i słaby, nie będzie pracował tyle co ja.

Obróciwszy się do ojca, rzekł:

– Kochany ojczy, weź na drogę pieniądze, które tu przyniosłem, a mnie zostaw w niewoli. Ty już wystarczająco dużo wycierpiałeś, a ja jestem młody i mogę więcej znieść.

Gdy usłyszał to Turek, zdumiał się i ze wzruszenia zalał się łzami, a potem powiedział:

– Miłosierny synu, tobie i twojemu ojcu daruję wolność i nie wezmę waszych pieniędzy, przeciwnie, dam wam na drogę tyle złota, że gdy wrócicie do waszego kraju, będziecie mogli kupić własne gospodarstwo. Ale proszę, zostańcie jeszcze trochę w moim zamku. Chciałbym, żebyście nauczyli mnie waszej wiary w Jezusa Chrystusa, bo naprawdę musi to być wiara z samego nieba, jeśli działa takie cuda miłości między ludźmi.

I ten chłopiec, z którego ludzie szydzili i który od dzieciństwa doświadczył tyle nędzy w imię miłości rodzicielskiej, odebrał teraz nagrodę od Pana Boga. Za swoje miłosierdzie i wytrwałość nie tylko ojca z niewoli wybawił, ale i tego Turka nawrócił, a gdy wrócił do domu, kupił ładne gospodarstwo i razem z ojcem żyli w nim szczęśliwie aż do śmierci.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 769-771.

<https://siostry.net/opowiadania/op65>



W 1812 roku, w czasie pamiętnych bitew, które zniszczyły północ Europy, wojsko polskie razem ze swoimi sprzymierzeńcami podeszło pod Smoleńsk, by zdobyć twierdzę. W tej wyprawie brał udział piętnasty pułk piechoty polskiej, w którym służył kapitan Jaroszyński. Miał on wyżłą – suczkę, która wszędzie mu towarzyszyła, także na polu bitwy, oswojona z wrzawą wojenną, była przy nim. Jaroszyński w jednym z bitew pod Smoleńskiem został śmiertelnie postrzelony. Wyżlica widziała konającego pana i gdy ten oddawał ostatnie tchnienie, przeraźliwie zawyła. Od tej chwili nie odstępowała ciała kapitana. Próbowano ją karmić, ale nie chciała nic jeść i ciągle ponurym głosem ogłaszała dotkliwą dla niej stratę. W końcu musiano ją odegnąć od zwłok kapitana Jaroszyńskiego, aby go pogrzebać. Ona zaś wytropiła mogiłę, gdzie złożono jej pana i próbowała rozgrzebywać ziemię, która go przykrywała. Gdy jej w tym przeszkadzono, rzuciła się na kapelusz kapitana Jaroszyńskiego, uciekła z nim w zębach i nie dała go sobie zabrać. Usiadła na nim smutna i przejmującym wyciem żałowała poległego pana.

W pobliżu przebywał w tedy Napoleon Bonaparte. Jeden z jego dowódców, spostrzegłszy suczkę, zapytał żołnierzy, dlaczego ona tak zawodzi. Wzruszony jej przywiązaniem kazał ją wziąć do siebie. Lecz żadne starania nic nie przyniosły. Wyżlica nie pozwoliła odebrać sobie kapelusza, rzucała się z wściekłością na każdego, kto chciał zabrać jej tę cenną dla niej pamiątkę. Nadal też nie chciała jeść żadnych pokarmów. W końcu wyrwała się z zamknięcia i pobiegła na mogiłę swego pana. Zawyła jeszcze bolesnym z żalu głosem i wkrótce, osłabiona i przygnębiona smutkiem, zdechła.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 237-238.

<https://siostry.net/opowiadania/op66>



67 Zosia Sieniawska

Gdy Zosia Sieniawska została ochrzczona, jej matka zaniósł ją do kościoła, gdzie przed obrazem Najświętszej Maryi Panny położyła ją na ołtarzu i pobożnie ofiarowała Bogu oraz Matce Bożej. Modliła się przy tym, o to by Bóg, jeśli jej dziecko według Jego oglądu okaże się złe, zabrał je ze świata w dzieciństwie. Przy dziecku na ołtarzu położyła także znaczną jałmużnę. Składała ją potem co roku, dając sumę tym większą, im więcej lat miała jej córka.

Ale już kiedy Zosia miała dwa lata, ujawniały się pierwsze oznaki jej przyszłej świętości. Kiedy w domu odmawiano różaniec albo koronkę, to dziewczynka, wypatrzywszy gdzieś leżącą koronkę, brała ją, klękała w kąci i modląc się ze wszystkimi, wypowiadała coś podobnego do słów modlitwy „Zdrowaś Maryjo”.

Gdy miała trzy czy cztery lata i bała się, aby jej za coś nie skarcono, klękała i pobożnie modliła się:

– Panie Jezu mój, obiecuję Tobie i Najświętszej Pannie zachować posłuszeństwo aż do śmierci, tylko mi to daj albo niech mi się to znajdzie.

I tak było. Pewnego razu zginął jej pierścionek. Bardzo się tym martwiła i bała. Ale jak tylko odmówiła modlitwę, to zaraz pierścionek się znalazł w najmniej prawdopodobnym miejscu – w gęstych zaroślach w sadzie.

Gdy Zosia skończyła sześć lat, sama zdecydowała, że chce przystąpić do spowiedzi i komunii świętej. Nie można było jej w żaden sposób od tego odwieść. Ksiądz widząc, że jest jeszcze za mała, chciał jej to wyperswadować, więc zaczął ją szczegółowo przepytwać z katechizmu. Pytał o wiele trudnych rzeczy, chcąc by Zosia sama zdała sobie sprawę, że nie jest jeszcze gotowa i zrezygnowała z tego zamiaru. Dziewczynka jednak nie przestraszyła się pytań i w niczym się nie pomyliła, przeciwnie, na każde pytanie odpowiadała celująco, co wywołało podziw księdza i obecnej przy tym jej matki. Ksiądz, widząc, że ta duszyczka wiedziała więcej nawet niż starsi ludzie, pozwolił Zosi przystąpić do spowiedzi i komunii.

Potem Zosia, aż do jedenastego roku życia, wychowywała się u babki. Ponieważ umiała na pamięć cały katechizm, uczyła go inne rówieśniczki, które ze względu na nią także były pod opieką jej babki. Zwoływano także wiele innych dziewcząt. Ulubioną zabawą Zosi było uczenie ich porządku,

pytała je poważnie o sprawy wiary i pobożności, poprawiała i uczyła. Na koniec ta mała nauczycielka śpiewała z nimi pobożne pieśni, których umiała bardzo dużo.

Następnie Zosia wróciła do matki, która wychowywała ją pilnie i surowo. Widząc, że Zosia jest z natury bardzo odważna, wesoła i dowcipna, uważała, że do dobrego wychowania jej córka potrzebuje ciągłego przywoływania do porządku. Dlatego też przydzieliła jej ochmistrzynię, która pilnowała ją na każdym kroku i w niczym jej nie pobłażała. Wszystko to Zosia znosiła z uśmiechem na twarzy. W końcu, tak jak prosiła Boga jej matka, gdy kładła ją na ołtarzu w kościele, aby Bóg zachował ją w cnocie i obyczajach pocziwych, i tak jak sama dziewczynka w dzieciństwie obiecywała w swoich modlitwach, wyrosła w błogosławieństwie i żyła potem szczęśliwie, będąc zawsze miłą Panu Bogu i ludziom.

■ E. Bojanowski, t. II, s. 238-239.

<https://siostry.net/opowiadania/op67>



Gdzieś na pustkowiu, gdzieś na odludziu stała sobie stara chatka, nieco pochylona, oparta o drzewo, które przy niej rosło, a spod drzewa było źródło. Była tam też wydeptana ścieżka, prowadząca od progu chatki do źródła. W chatce mieszkała biedna, owdowiała, kłopotami przygnieciona do ziemi matka, a razem z nią córeczka, jedyna jej podpora na starość. Ale ponieważ biednemu zawsze wiatr w oczy, to również ta skołatana wdowa, razem ze swoją skołataną chatką, ledwo się przed ostateczną nędzą broniła i oczy jej nigdy z łez nie wysychały, bo dopóki serce matczyne w niej biło, dopóty jedna łza drugą goniła. Ludzie, przechodząc, mówili:

– Źródło tu bije zawsze, jak zazwyczaj źródło, a matka popłakuje, jak zazwyczaj matka.

A dziewczątko codziennie z dzbanuszkim po wodę dreptało tą ścieżką przy chatce i dotąd innych drózek na świecie nie widziało, tylko tę jedną ścieżkę do swojego źródła. A jednocześnie była to dla dziewczyny, w każdej jej potrzebie, najbliższa dróżka do matki.

Aż pewnego razu wiatr zerwał się, zaszumiał w gałęziach drzewa i nasywał z nich mnóstwo liści do źródła. Dziewczyna była młoda, więc nic dziwnego, że trochę lekkomyślna i nierozważna. Niestety niechcący biedną matkę zasmuciła, bo wygarniając ze źródła liście, które naleciały, i z bawiąc się tymi pływającymi na wodzie, tak zmaciła źródło, że do następnego ranka, dopóki się woda nie ustała, przez cały długi i skwarny dzień nie można było nigdzie w pobliżu ani kropli czystej i chłodnej wody zaczerpnąć.

To, co matka w chatce dziewczątka na ten temat powiedziała, tego nie można było przez okienko dosłyszeć, bo akurat wtedy jaskółki bardzo świergotały ze swymi młodymi w gniazdku nad okienkiem. Dopiero potem w niektóre pory dnia rozchodził się jakiś wdzięczny głos w tym cichym ustroniu. Gdy ktoś szedł pobliską drogą, myślał: „Widocznie śpiewają tu ptaszki zlatujące z drzewa do źródła, by rozkoszować się ochłodą wodą. Ale to nie był śpiew spragnionych ptaszków, tylko dziewczyny z dzbanuszkim, która chodząc po wodę, nuciła sobie piosenkę, której się nauczyła ją matka:

*Masz u źródła czystą wodę?
Pomnij go nie kłócić.*

*Masz u matki swej ochłodę?
Pomnij jej nie smucić.
Bo gdy w źródle woda mętna,
Jakże się napoisz?
Bo gdy matki dusza smutna,
Jakże się ukoisz?*

■ E. Bojanowski, t. II, s. 239-240.

<https://siostry.net/opowiadania/op68>



69 Miłosierdzie Boże

Miłosierdzie Boże jest nad wszystkim, cokolwiek nas tylko spotyka na ziemi, Miłosierdzie Boże jest we wszystkich zyskach i stratach; Miłosierdzie Jego jest wtedy, gdy nam użycza dóbr doczesnych, i wtedy, gdy nam ich odmawia; Miłosierdzie Jego jest wtedy, gdy nam łązy wyciska, i wtedy, gdy nam je ociera. Bo to jest zawsze ten sam Ojciec Najdobrotliwszy, którego oko ciągle na nas patrzy, którego mądrość nas strzeże, którego miłość nas prowadzi. My nigdy powodu do skargi i żalu na Boga nie mamy, a do dziękowania i błogosławienia – zawsze. Poznajemy Jego Opatrzność w miłości i Jego dobroć w dobrym powodzeniu. Czemuż w niepowodzeniu jej rozpoznać nie chcemy? Czemuż tak łatwo od dziękczynienia do szemrania przechodzimy, czemuż ufność i nadzieja tak łatwo ustępuje rozpaczy? Tak jesteśmy hardzi i pyszni w powodzeniu, tak małoduszni i niestali w przeciwnościach. W szczęściu nie chcemy poznać Ojca najdobrotliwszego, w nieszczęściu – Ojca karzącego. Ale On jest zawsze tym samym Ojcem najlepszym, a my zawsze ci sami – dzieci najbardziej wyrodne.

Oto Pan Bóg zesłał klęskę na cały ten kraj, klęskę dotkliwą, niemałą. Poznajmy w tym rękę Boga Najsprawiedliwszego, który aż nadto słusznie nas karze. Upokórzmy się przed Nim i wyznajmy winy nasze, i łzami, i modlitwą, i miłosierdziem naszym przebłagajmy gniew Jego. Zesłał Pan Bóg klęskę niemałą na te strony kraju naszego. Poznajmy w tym rękę Ojca Najlepszego, który nam tak wielkie otwiera pole do lepszego żniwa niż te, które woda zniszczyła, żniwa złotych kłosów zasług – jednym przez cierpliwość w znoszeniu nędzy swojej, drugim przez miłosierdzie w niesieniu ulgi tej nędzy. Zniszczył Bóg ten plon, który był darem Jego, który tak piękną wróżył nadzieję. Żniwiarz opuścił sierp swój, którego użyć nie może. Wy, serca szlachetne, weźcie się do pracy; dobre uczynki niechaj będą sierpem, zasługi niech będą snopami, które przed sobą wyślecie do spichlerza Ojca Niebieskiego. Jeśli kiedyś w ogóle, to teraz, teraz przyszedł czas by odnowić w pamięci, w sercu, w uczynkach i w woli to wielkie przykazanie. Teraz, gdy tyle jest łez do otarcia, tyle ran do zagojenia, tyle serc do pocieszenia, tyle zgłodniałych do nakarmienia, a dla was tyle błogosławieństw Bożych i dla siebie, i dla żony, i dla mężów, i dla dzieci, i dla majątków waszych do pozyskania, tyle modlitw i westchnień nieszczęśliwych do nabycia, tyle

grzechów do zmazania, najpiękniejsza wybiła godzina. Cóż, czy dacie jej przeminąć bez żadnej korzyści? Wiem, że serca wasze są tklive i szlachetne, gdyż dawały już tego i jawne, i ukryte – a jednak widoczne dowody. I teraz też się nie zamkną na głos nędzy. Wiem dobrze, że widok tej nędzy przemawia do was głośniejsze i wymowniejsze niż słabe słowa. Jednak pozwólcie, że zwrócę się do was w imieniu tych nieszczęśliwych z nauką na większą chwałę Boga, na pożytek bogatych i ubogich.

Jaka radość i wesołość jeszcze nie tak dawno temu panowała w chatach wiejskich. Choć przednówek dokuczał bolesnym głodem, to jeden rzut oka na pole pokryte gęstym zbożem przywracał nadzieję, która ze złotych kłosów już zaczęła wyglądać. Patrzył rolnik z radością na pracę rąk swoich, która tak bujnie wzrastała na jego oczach. Podlewał ją Bóg deszczami i rosą niebieską, rozgrzewał promieniem słońca swego, gotował pokarm Ojciec dla dzieci, Gospodarz niebieski czuwał nad pracą krwawego ludzkiego potu na ziemi. Ale jak na to odpowiedzieli ludzie? Ludzie zapomnieli o Bogu i odebrawszy dary, zapomnieli o dawcy, znieważali grzechami dobroczynność swego. Nie sądźmy, bracia, nie sądźmy, że my, których Bóg oszczędził, mniej winni jesteśmy: grzechy, zbytki, rozpusta wyuzdana, niewiara, zabawy bez umiaru i końca ściągają kary Boże na cały kraj. W dodatku często ten najmniejszy najdotkliwiej cierpi. Ukryte są przed człowiekiem sądy Boże, nie ma sensu ich dociekać, ale należy je w pokorze uszanować. A jeśli nas Pan Bóg nie ukarał, drżymy! – ma On jeszcze różgę.

Sobie przypisywali ludzie błogosławieństwo prac swoich. Biedni ludzie, sądzą, że sami z siebie coś mogą. To ja, chwali się matka, wychowałam tak dobrze dzieci moje; to ja, moim rozumem i pracą dostałam tego urzędu; to ja, moją skrzętnością i rozumem ten majątek nabyłam. O, nie chwal się, prochu, tym nędznym „ja”, jak małe, nierozumne dziecko. To „ja”, samo z siebie, bez łaski, bez pomocy jest niczym, nic nie umie, nic nie może; lecz jeśli nie masz tyle rozumu, aby to wyznać, lub jeśli pycha stłumiła głos twojego rozumu, drżij, lękaj się, aby Bóg nie pokazał tobie, czym jest człowiek bez Jego pomocy Boskiej, aby nie pokazał nam tego w tych czasach. Ale Bóg jest pełen Miłosierdzia, nie chcąc ludu swego w zaślepieniu zostawić, przesłał małe przypomnienie potęgi swojej, aby ludzie upokorzyli się przed Nim i zdarli te róże, które wieńczą ich głowy, i posypali je popiołem, aby w miejsce tych szat eleganckich przybrali włosiennicę pokuty, aby przynajmniej w sercach skrucę wzbudzili i przystąpili do świętych sakramentów na przebłaganie gniewu Bożego, którego groźba jeszcze wisi nad nami.

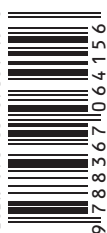
Skinął Bóg z tronu chwały swojej i zaczęły się gromadzić czarne chmury, i stanęły groźne wojska nad szczytami Tatr, czekając na rozkazy swego wodza. I skinął Bóg, i w okamgnieniu otworzyły się śluzy niebieskie, i rzęsistym strumieniem runął deszcz, i ciche potoczki, które dotąd ukryte, mrużąc, sączyły się pomiędzy skałami, usłyszały gniewny głos Pana swego, i posłuszne Temu, który je stworzył, burzyć się zaczynają, byстрыm pędem – jako posłańcy gniewu Bożego – lecą przez twarde skały ku równinom. Już, już się zbliżają do mieszkań ludzkich, strasznym hukiem i sykkiem zapowiadając swoje przyjście, tak jakby mówiły, szydząc, do ludzi: My jesteśmy wykonawcami sprawiedliwości Bożej! Wasza słaba ręka nie zdoła nas zatrzymać. Ludzie! Padnijcie na kolana, wołajcie o Miłosierdzie, może jeszcze uda się wam przebłagać gniew Boży. Kościoły są otwarte, ale w kościołach jest pusto; stoją konfesjonały, ale nikt się do nich nie zbliża; jest wystawiony Przenajświętszy Sakrament, ale nie ma nikogo, kto by się przed nim ukorzył; biją dzwony, ale uszy są na nie głuche. Obejdziemy się bez Pana Boga – zdają się mówić ludzie – mamy mosty, tamy i jazy, które nas obronią. A niebo coraz bardziej zakrywa się ciężkimi chmurami i deszcz coraz gęstszym leje się strumieniem, i rwą ścieśnione w korytach potoki. I skinął Bóg, i uwolnił je. Występują z granic swoich i jakby dłonie sobie podając, łączą się rzeki rozhukane, tocząc bałwany, i znikają pod nimi chaty, pola, wsie, bydło, ludzie; wałą się drzewa, rozsypują mury. I wtedy dopiero zawołał lud o Miłosierdzie do Boga, i Bóg się zmiłował, i skinął, i wody wróciły do swoich koryt, i rozstały się chmury, i po trzech dniach słońce zabłysło na niebie, i oświeciło całą nędzę nieszczęśliwego ludu. Trzy dni przeminęły jak straszny sen. Ach! To nie sen, to prawda. Szuka chłop pola swego.

■ E. Bojanowski, t. I, s. 849-852.

<https://siostry.net/opowiadania/op69>



ISBN 978-83-67064-15-6



9 788367 106415 >6



 facebook.com/WydawnictwoWerset 

